Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Znów 16 stron!

Na razie cena ta sama!

Zycie seksualne prezydentów USA etc.

str. 7,12

Co jest w tej piłce?

Dalszy ciąg wspomnień Jana Tomaszewskiego str. 16

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

1933–1983 kamena 50 lat CHEŁM–MIRLIN

NR 2 (769) 16-29 stycznia 1983 CENA 10 ZŁ

Patrz Matejko na nich z nieba...

Ireneusz J. Kamiński

WSPÓŁCZEŚNI artyści i inteligenci miłujący sztukę o Matejce mówią różnie, ale coraz lepiej. Przypomnijmy więc młodszym pokoleniom, że przez wiele lat następujących po roku 1956, kiedy głowy polskie znów zaczęły huczeć od myśli narodowych, ludzie nowocześni jakoś upodobali sobie, by wartość malowideł autora „Wjazdu Bolesława Chrobrego do Kijowa" mierzyć w metrach i kilogramach. Jedna z moich awangardowych koleżanek oznajmiła kiedyś, z mściwą satysfakcją w swych pięknych oczach, błyszczących jeszcze refleksami rzeki Uherki, że Picasso, zwiedzając Muzeum Narodowe w Warszawie, przemknął obojętnie obok płócien mistrza Jana, by znieruchomieć na moment przed romantycznymi obrazami Piotra Michałowskiego, bodaj tylko przed nimi... Owszem, pomyślałem w odpowiedzi, jeden z organizatorów polskiego hutnictwa w latach dwudziestych minionego stulecia, a potem obrazowy piewca epoki napoleońskiej, malarz ten był twórcą wybitnym, ale przecież niewykluczone, że starego Hiszpana, kompletnie głuchego na sens „Stefana Batorego pod Pskowem" Matejki, zaintrygował głównie temat pewnego płótna Michałowskiego, przedstawiającego bitwę pod Samosierrą, podczas której, jak wiadomo, nasi szwoleżerowie wycięli ludzi broniących wolności półwyspu Iberyjskiego...

Tak chyba pomyślałem, zresztą nieśmiało, bo i w tamtych latach nie wypadało dopuszczać do świadomości, że w historii nie tylko nas bito, ale i my

Dokończenie na str. 13

Jak zabijać siebie? - czytaj str. 14

Fot. Waldemar Stępień

Zygmunt Wójcik

STARA KOBIETA

Umiera w niej drzewo wiatru
oczy pokrywa rdza pożegnań.
Siedzi nad miarką
i łamie paznokcie
wydzierając sytość
z łuskanego bobu.
Dla dzieci — mówi.
Niechby jej ktoś zabrał
te bobiaste jądra
wtedy by Hiroszimą
obdarzyła wroga.

Teraz ma na twarzy oddech pól.
Zostaje na wsi sama.
Po odejściu ostatniego syna
wygląda jak splądr[illegible]ana
świątynia.

* * *

Ona ma
własny pomiar kartograficzny pól
stopą.
Najczulszym przyrządem
mierniczym.
Od drzewa do drzewa
rozciąga myśl
która broni ją
przed szaleństwem.
Czasem uderzy głową
by się nie dać snom.

SYNOWIE

Jeden syn bierze fuzję
brodzi z nią po polnym błocie
które przelewa się przez cholewy
gumowych butów
i tam
ścina je mróz
razem z listem do matki

Drugi syn wychodzi co dzień
do fiata 126 p
nalewa słodkiej melasy
oleju silnikowego
wyciąga mieczyk głębokości
patrzy
że wystarczy by w niej utopić
pamięć
o matce

Trzeci syn pracuje nad słowami
stającymi dęba
związał sobie ręce metaforą
i nie może ich rozłożyć
na jej powitanie
zakuty w dyby
poetyckiego egoizmu.

W następnym numerze relacja ANNY BOCIAN z procesu sprawcy katastrofy samochodowej, która wstrząsnęła opinią publiczną.

z notatnika

3.I. Bardzo długo, stanowczo za długo nie zasiadałem przy maszynie do pisania, nie robiłem też żadnych notatek na bieżąco. Nie był to jednak bynajmniej czas odpoczynku. Przede wszystkim absorbował mnie wyjazd do RFN; trzeba było to i owo przeczytać, zapoznać się bliżej z zachodzącymi ostatnio w tym kraju przemianami, aby wykazać się jako taką znajomością problemu. W ciągu dziesięciu dni odwiedziłem cztery miasta — Monachium, Frankfurt, Bonn i Münster, przeprowadziłem wiele rozmów. Program był tak przeładowany, że zabrakło czasu na fotografowanie: całym plonem jest zaledwie kilka przeźroczy...

Rozmawiałem z różnymi ludźmi — Niemcami, na ogół bardzo jednostronnie poinformowanymi na tematy polskie, Polakami, którzy pozostali na Zachodzie i nie bardzo wiedzą, co robić dalej: są spragnieni wieści z kraju, ale jednocześnie nieufni albo wręcz wrogo nastawieni do tego, co się w tym kraju dzieje. Nie mogli ukryć swej wściekłości, że siedzi obok nich czerwony dziennikarz ze służbowym paszportem w kieszeni, dziennikarz zaproszony przez rząd RFN. Owo zaproszenie (z jesieni 1981 r., ale o tym nie musiałem już mówić) stanowiło przysłowiową czarę goryczy... Wrócę jeszcze do tego tematu, bo wart jest odnotowania.

Na razie chciałbym stwierdzić, że tutejsze środki masowego przekazu — prasa, radio, telewizja — znacznie mniej poświęcają uwagi sprawom polskim niż przed dwoma laty. Kiedy w 1980 roku przebywałem poprzednio w RFN, a było to na przełomie października i listopada, i oglądałem dzienniki telewizyjne, to niemal każdy z nich zaczynał się od informacji z Polski. Tylko raz sesja Bundestagu wyparła te informacje na plan dalszy. Teraz na pięć dzienników wieczornych, które mogłem zobaczyć, zaledwie jeden napomknął o wydarzeniach w naszym kraju i to przy końcu serwisu zagranicznego.

Wyciąganie z tego zbyt daleko idących wniosków może byłoby przedwczesne, nie mniej fakt to symptomatyczny.

W redakcji springerowskiej „Die Welt" w Bonn, gdzie rozmowa toczyła się w tonie kurtuazyjnym, powiedziałem moim słuchaczom, że pracują w piśmie, które w ich mniemaniu reprezentuje tzw. wolną prasę, ale wiadomości, jakie zamieszczają na temat Polski są niezmiernie tendencyjne. Usłyszałem w odpowiedzi, że „nasz czytelnik lubi informacje straszliwe." Jeśli na tym ma polegać wolność, to beze mnie!

Poza spotkaniami — nazwijmy je — oficjalnymi miałem wiele spotkań przypadkowych, z ludźmi poznanymi przy kawie lub piwie, do których trafiały moje argumenty na temat konieczności wprowadzenia stanu wojennego w Polsce jako drogi ostatecznej, mającej na celu zachowanie pokoju w Europie, a może nawet i pokoju światowego. W dyskusjach dało się odczuć zaniepokojnie wzmagającym się wyścigiem zbrojeń i możliwością zainstalowania w RFN nowych rakiet amerykańskich z głowicami nuklearnymi. Otwarcie mówili oni o pogarszającej się sytuacji gospodarczej w RFN, o ponad dwóch milionach bezrobotnych, a z drugiej strony o inwazji gastarbeiterów, co do których zdania były już podzielone. Powszechnie narzekano też na trudności mieszkaniowe i potwornie drogie komorne. Nie były to takie sobie zwykłe narzekania: lektura ogłoszeń prasowych jest bardzo pouczająca. W takim np. Monachium za trzypokojowe mieszkanie, prawda nie mające 48 m kw., ale dajmy na to, 90 m kw., płaci się miesięcznie i 1500 marek plus kaucję w wysokości ok. 2000 marek, złożoną zresztą w banku i oprocentowaną w wysokości 120 marek rocznie. Przybysz z Polski widzi zwykle tylko sklepy, a gdy przybędzie na tzw. saksy mieszka kątem, jada byle co, starając się uciułać jak najwięcej i później w kraju strugać lorda. Pewnie, że można tak przez rok wytrzymać. Znam jednak wypadki, kiedy taki polski gastarbeiter, pracujący, jak tu się mówi, na czarno, a więc bez zezwolenia władz, pozbawiony jakiejkolwiek pomocy lekarskiej, kiedy złamał rękę lub nogę, albo nabawił się jakiejś choroby, natychmiast wracał do kraju. Leczenie się na miejscu, kiedy za prosty zabieg trzeba nieubezpieczonym płacić kwoty horrendalne, nie jest po prostu możliwe.

Tu muszę wspomnieć o tym, co w RFN zrobiło na mnie najbardziej wstrząsające wrażenie. Oto centrum Bonn. Przed domem towarowym, kuszącym wspaniałościami, gra na organce drobny młodzian, a mały kundel szczeka w niebogłosy i szarpie go za spodnie. Przed chłopcem leży na chodniku czapka, przeznaczona na łaskawie rzucane monety. Najwartościowsza spośród nich — 50-fenigowa. Za to nie można tu kupić nawet gazety...

Młodzian ma dłonie, ale nie ma rąk. Dłonie wyrastają mu bezpośrednio z ramion... Nieszczęsna ofiara leku, zwanego bodaj thalidomidem, który unieszczęśliwił tyle rodzin. Matki będące w ciąży brały owe pigułki i potem rodziły niemowlęta-kaleki...

Oczywiście były i wrażenia zupełnie innego rodzaju. Nie po raz pierwszy jechałem w RFN pociągiem. Te osobowe, podmiejskie, niewiele różnią się od naszych, ale podróż ekspressem międzynarodowym w wagonie I klasy, gdzie jest i poduszeczka pod głowę, gdzie i fotel można odwrócić, zgodnie z kierunkiem jazdy, to przeżycie naprawdę fajne. Wsiadam na dworcu w Monachium do takiego ekspressu i przez głośnik słyszę ciepłe słowa. Ten i ten (tu nazwisko) prowadzi pociąg, życzy pasażerom przyjemnej podróży. A w całym wagonie tych pasażerów zaledwie sześciu! Szybkość jakieś 120 km na godzinę. Nic nie trzęsie. Odległość ponad 400 km z Monachium do Frankfurtu pokonuje pociąg w przeciągu czterech godzin. Podają oczywiście kawę lub piwo. Rzecz jasna, nie za darmo... Darmowy jest tylko mój bilet. Darmowy dla mnie-gościa. Wraz z miejscówką kosztował on, bagatela, 130 marek. Wątpię, czy na taką podróż pozwoliłby sobie gastarbeiter, nie tylko z Polski. Co tu zresztą mówić o gastarbeiterach: oszczędni Niemcy jeśli już jadą takim pociągiem, to zwykle II klasą...

Dosyć jednak na ten temat teraz. Wrócę do niego w następnych notatnikach lub w osobnych publikacjach, zwłaszcza że materiału mam naprawdę sporo, a to, co się dzieje między Łabą a Renem, zawsze jest dla nas, Polaków, interesujące.

9.I. W telewizji — polskiej oczywiście — wstrząsający film o dramacie Hiroszimy i Nagasaki, prezentacja ludzi, którzy przeżyli piekielne wybuchy atomowe. Nie wolno dopuścić, by te tragedie, ustokrotnione — bo przecież sztuka wojenna poszła błyskawicznie naprzód — mogły się kiedykolwiek i gdziekolwiek powtórzyć!

Oto przed kilkoma dniami zakończyła się w Pradze narada Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego. Na czele delegacji polskiej stał gen. Wojciech Jaruzelski, na czele delegacji radzieckiej sekretarz generalny KC KPZR, Jurij Andropow.

W jednogłośnie przyjętej Deklaracji mowa jest o tym, że wyścig zbrojeń wkracza w jakościowo nową, coraz bardziej niebezpieczną fazę, obejmując wszystkie rodzaje zbrojeń, zarówno jądrowych jak i konwencjonalnych, wszystkie rodzaje działalności wojskowej, praktycznie wszystkie rejony świata. Wydatki wojskowe stają się dla narodów, niezależnie od poziomu ekonomicznego poszczególnych państw, coraz większym brzemieniem, hamują postęp ekonomiczny i społeczny. Państwa socjalistyczne wysuwają alternatywę wobec katastrofy jądrowej i wzywają do szerokiej współpracy międzynarodowej w imię zachowania cywilizacji i życia na Ziemi.

Tą alternatywą jest wezwanie do wypracowania w najbliższym czasie porozumienia o całkowitym i powszechnym zakazie doświadczeń z bronią jądrową; przystąpienie do wypracowania konwencji o zakazie broni neutronowej; niezwłoczne rozpoczęcie rozmów w sprawie zakazu umieszczania w przestrzeni kosmicznej wszelkich typów broni; przyspieszenie rozwiązania problemu umocnienia gwarancji bezpieczeństwa dla państw nie posiadających broni jądrowej.

Państwa-Strony Układu Warszawskiego, wzywając wszystkie państwa do rozwiązywania spornych problemów środkami pokojowymi, zwracają się do państw NATO z propozycją zawarcia układu o wzajemnym niestosowaniu siły militarnej i utrzymaniu stosunków pokojowych.

Trudno streszczać Deklarację, która zajmuje półtorej strony „Trybuny Ludu". Stanowi ona dokument historyczny, a precyzja argumentów jest tak wielka, że nawet prezydent Reagan na konferencji prasowej zajął wobec Deklaracji stanowisko powściągliwe, a w kilka dni potem, zdając sobie sprawę z reakcji, jaką praski dokument wywołał w zachodniej Europie, postanowił wysłać tam swojego zastępcę.

Rok 1983 zaczął się więc od niezwykle doniosłych wydarzeń. Jaki jednak będzie finał tego roku, przewidzieć dziś nie sposób.

M. A. Jaworski

KRONIKA

◆ W niemal 160 lat liczącej historii naszego przemysłu cukrowniczego nie było kampanii tak pomyślnej, jak właśnie zakończona. Przyczyniła się do tego słoneczna pogoda w odpowiednim okresie minionego roku oraz po części — jak twierdzą ludzie z branży — reforma gospodarcza, zachęcająca załogi do lepszej pracy, oszczędzania surowca i energii.

◆ W 1982 r. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN wydrukowały 147 tytułów książek w ogólnym nakładzie ok. 5 mln egzemplarzy. Warto przy tym wiedzieć, że drukarni ciągle brakuje pracowników, albowiem znaczna grupa odeszła na wcześniejsze emerytury.

◆ 800 ton węgla wydobywa na dobę kopalnia w Bogdance. Notomiast na powierzchni, w Łęcznej, otwarto górniczy ZOZ, leczący zresztą wszystkich mieszkańców okolicy.

◆ Lubelski oddział KAW opublikował pracę zbiorową „Lublin rewolucyjny", przygotowaną w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS i przedstawiającą tytułową problematykę od 1882 roku do czasów współczesnych. Jest to pozycja nie tylko wartościowa poznawczo, ale i po prostu interesująca dla tzw. przeciętnego czytelnika.

◆ Kożuchy z Kurowa kosztują obecnie i 100 tys. zł sztuka. Dużo, bardzo dużo, ale „pocieszmy się", że modne obecnie czapeczki z daszkiem i zatrzaskami (podobno włoskie) oferuje się za 1300 zł — oczywiście w Rembertowie, na największym krajowym „kiercelaku".

◆ Rzecz w tym, by „odbudowa ruchu związkowego stała się szeroką i autentyczną platformą porozumienia ludzi pracy", stwierdzono na niedawnej Miejskiej Konferencji Sprawozdawczej PZPR w Lublinie, wskazując na stosunkowo powolny rozwój nowych organizacji związkowych, które w licznych zakładach pracy nie zyskały jeszcze społecznego zaufania.

◆ „Czarne — białe" to tytuł indywidualnej wystawy nowych prac malarskich Jana Ziemskiego, czynnej w grudniu i styczniu w lubelskim BWA. (Przy okazji informujemy, że wspomniana instytucja uruchomiła w Bramie Krakowskiej archiwum i czytelnię wydawnictw związanych ze sztuką tzw. innych mediów. Pożyteczna placówka czynna jest tymczasem w czwartki, w godzinach 10—16).

◆ Za kilka miesięcy na rynku ukaże się radiomagnetofon monofoniczny „Wilga", będący pierwszą oryginalną konstrukcją specjalistów z lubartowskiej „Unitry". Fale długie i UKF, a cena średnia: 10 tys. zł.

◆ Ponieważ w miejsce wydziałów finansowych urzędów gminnych, miejskich i wojewódzkich znów mamy Urzędy Skarbowe, przypominamy miłośnikom tradycji, że coś takiego mieściło się przed wojną w wielkim gmachu dzisiejszego Urzędu Wojewódzkiego przy ul. 22 Lipca (w Lublinie).

◆ Pozostałością po silnej gminie żydowskiej na Lubelszczyźnie jest pokahalny kompleks we Włodawie, składający się z synagogi głównej i małej oraz domu kahalnego. Ten unikatowy w skali kraju zespół zabytkowy, ma szansę przetrwania w formie muzealnej. Trwająca od kilku lat restauracja XVIII-wiecznej synagogi przekroczyła półmetek. Wnętrze przeznaczone zostało na tworzące się muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Późnobarokowa, z wyraźnymi wpływami orientalnymi synagoga główna, ufundowana w części przez Czartoryskich, stanęła w centrum dawnej dzielnicy żydowskiej w 1764 r. Z czasem nieco przebudowana, do dziś zachowała swój pierwotny kształt. Główny obiekt całego zespołu będzie więc uratowany. Wraz z późnoklasycznymi pozostałymi budynkami — małą synagogą i domem kahalnym — tworzy on bezcenny zespół zabytkowy. Mała synagoga ma się stać zapleczem dla przyszłego muzeum, zaś użytkownikiem domu kahalnego ma być Miejska Biblioteka Publiczna.

Promotor polskiej muzyki współczesnej

Mieczysława Demska-Trębaczowa

„MUZYKA nasza musi odzyskać odwieczne swe prawa: bezwzględnej wolności, zupełnego wyzwolenia z jarzma stworzonych »wczoraj« norm i nakazów. Niech będzie »narodową« w rasowej swej odrębności, niech jednak dąży bez lęku tam, gdzie wznoszone przez nią wartości stają się już ogólnoludzkimi, niech będzie »narodową« lecz nie »prowincjonalną« [...]. Niech wszelkie prądy, rodzące się w sztuce wszechludzkiej, swobodnie przepływają i przez naszą [...]. Nie powinniśmy tracić organicznych związków z ogólnoludzką kulturą, na tym bowiem tylko poziomie może wzróść istotna, wielka sztuka, a więc i muzyka narodowa [...]". — konstatował w roku 1920 Karol Szymanowski. Kiedy kompozytor wypowiadał powyższe słowa, miał w pełni skrystalizowane stanowisko w kwestii rodzimości muzyki polskiej, rozpatrywanej w kontekście: swojskość—obcość—powszechność. Choć na „skalnym szańcu" sztuki dźwięków czuł się samotny, miał sojuszników wśród polskich artystów jego generacji: plastyków, poetów, pisarzy, krytyków. Bowiem w konstatacjach nad naszą kulturą problem jej związku z kulturą innych narodów, zagadnienie naszego miejsca w artystycznym universum, a także kwestia narodowej odrębności muzyki były szeroko dyskutowane w polskich środowiskach.

Po roku 1918 sądy w powyższych sprawach nie kształtowały się już w „poetyce braku". Część artystów optowała wręcz za uchyleniem dotychczasowych żądań społecznych, próbowała zgoła „zrzucić z siebie płaszcz Konrada", pragnęła burzyć narodowe symbole i chciała widzieć „wiosnę wiosną". Szymanowski należy do grupy przedstawicieli „modernistów", „futurystów" czy „rewolucjonistów", którzy powrócili do „sprawy polskiej", jej dylematów i dramatów. Kompozytor włączył się czynnie w dysputy na temat przyszłego kształtu sztuki polskiej. Koncepcje w tej kwestii były różne, lecz dominował pogląd, że należy stworzyć „styl narodowy", który dałby możliwość pokazania własnej odrębności kulturowej. Ów zaprogramowany „styl polski" miał być oryginalny i nowoczesny, zgodny z duchem dwudziestego stulecia, utworzony z wyszukiwanych w przeszłości rodzimych pierwiastków, połączonych z nowymi.

* * *

Należy podkreślić, że pragnienie stworzenia stylu narodowego, który jednolitością ogarnąłby wszystkie dziedziny sztuki, w momencie proklamowania niepodległości nie było nowe, na gruncie polskim miało długą tradycję. Myśl podporządkowania sztuki wymogom narodowej służby na swój sposób głosiło oświecenie i romantyzm, nowe elementy wprowadził pozytywizm. Jej wyrazicielem w nowoczesnej postaci był syntetycznie pojęty program stylu narodowego, kreowany pod auspicjami Młodej Polski. Zorientowanie na styl narodowy znajdujemy w różnych dziedzinach sztuki polskiej.

W latach '80 ubiegłego stulecia pojawiły się pierwsze uświadomione wzmianki o kierunku narodowym w architekturze. Koncepcję „stylu zakopiańskiego" przedstawił Stanisław Witkiewicz. Ćwierć wieku potem powstał nowy ideał polskiej formy architektonicznej — dworek. Liczne głosy nawoływały do tworzenia odrębnego stylu. Potrzebę rzeczonego stylu architektonicznego uzasadnił w roku 1905 Kazimierz Mokłowski: „wyrzeczenie się własnego oblicza artystycznego, własnej duszy osobnej, jest klęską nie tylko dla danego narodu, ale dla cywilizacji światowej". W kilka lat później Stanisław Nałęcz-Odrzywolski dowodził, że architekturę polską należy oprzeć „o budownictwo ludowe i krajowe wieków przeszłych". Szuka się więc syntezy „ducha polskiego" wszędzie: w architekturze wieków przeszłych, w formach dachu, sklepienia i podcienia, szuka się w zaciosach kozikowych chaty góralskiej. Program narodowego malarstwa, literatury, muzyki był równie bogaty. Wyraziła go twórczość Moniuszki i Matejki, Grottgera i Wyspiańskiego.

Apel o tworzenie sztuki narodowej po roku 1918 nie był zatem pozbawiony tradycyjnych przesłanek. Promotor nowoczesnego stylu w muzyce mógł czerpać natchnienie z dzieł Norwida. Wszak na łamach czytanej przez Szymanowskiego „Chimery" w roku 1901 ogłoszono norwidowską *Wandę*, dzieło, które w obszar modernizmu wprowadziło problematykę słowiańską, pomogło rozwiązać kwestię genealogii sztuki narodowej i „tajemnicy duszy polskiej". Mógł kompozytor odwołać się do utworów poety „państwowości polskiej" — Wyspiańskiego. Mógł też iść — i jak się wydaje poszedł — za sugestiami teoretyków formacji młodopolskiej, którzy upomnieli się o godne miejsce muzyki wśród innych dyscyplin sztuki. Wszak u progu naszego stulecia powszechne było nietzscheańskie przeświadczenie, że podopieczna Polihymnii spośród sztuk najwyższą pozycję zajmuje. Zatroskanie o stan polskiej muzyki wyraził Feliks Jasiński na łamach „Chimery" w roku 1901: „Bardzo wiele mówi się u nas, a nawet pisze o muzyce polskiej. Muzyka taka nie istnieje, jak nie istnieją polskie sztuki plastyczne [...]. Narodowość rzecz cielesna, jest dla geniuszów podwaliną gmachu, nie zaś gmachem samym. Nie jest powinnością być narodowym, jak nie jest powinnością mieć ciało i krew oprócz ducha [...]. Artysta musi być przede wszystkim sobą, będąc nim będzie eo ipso narodowym".

Można przypuszczać, że nie były obce Szymanowskiemu ani konstatacje Jasińskiego, ani też wołanie Artura Górskiego o muzykę narodową i europejską z roku 1905: „Kult muzyki zatraca się całkowicie [...]. Wskazówka na przyszłość. Narodowość i światowość. Żyć tętnem całej ziemi, byle tylko mieć w myśleniu i działaniu punkt ciężkości oparty na ziemię własną".

Antycypując zbliżający się moment restytucji państwa polskiego, głośno mówiono o nowym stylu sztuki polskiej. To Wacław Husarski uzasadniał w roku 1916, że „[...]wojna obecna zrodzi między innymi potrzebę odbudowania miast całych i prowincji. Wobec ogromu tej pracy zajdzie konieczność posługiwania się najprostszymi formami [...]". Z kolei Tadeusz Pini dowodził, że „[...] kultura powinna pozostawać w związku z życiem narodu i nosić we wszystkich dziedzinach na sobie jakieś piętno rodzime". Jeśli nie zajmą się tymi problemami artyści zawodowi — ostrzegł — „znajdą się dyletanci, którzy ich zastąpią, nie z miłości ku sztuce, czy wiedzy, ale z zamiłowania do tych właśnie narodowych pierwiastków, z pietyzmu — i lepić będą garnki, wyrabiać kilimy lub pisać powieści o motywach swojskich".

* * *

Na apel o tworzenie sztuki narodowej odpowiedzieli — jako pierwsi — formiści polscy, czołówka awangardy, którą m.in. reprezentowali: Tytus Czyżewski, Leon Chwistek, Zbigniew i Andrzej Pronaszkowie, a także współpracujący z nimi Władysław Skoczylas. Choć działali krótko, pozostawili najpełniejszy program i konkretne realizacje artystyczne, bowiem wielu z nich posługiwało się piórem nie gorzej niż pędzlem czy dłutem. Po formistach sprawą poszukiwania stylu narodowego zajęli się plastycy z grupy „Rytm" (Skoczylas, Husarski, Stryjeńska). Przejawy nowoczesnej myśli architektonicznej i hasła narodowego posłannictwa były żywe w środowisku Politechniki Warszawskiej (po 1923 r.).

Pełny program stylu narodowego w muzyce był dziełem Karola Szymanowskiego, który na gruncie sztuki dźwięków nie miał łatwego zadania. Stąd gorzka refleksja artysty, czującego się samotnie na „skalnym szańcu": „Fatum chciało, iż dziś jednym w Polsce przedstawicielem owych »wyzwolonych« idei we własnej sztuce, a zarazem jednym z niewielu gorących jej rzeczników i obrońców teoretycznych jestem ja, w jednej osobie".

* * *

Zaprogramowany styl narodowy w wydaniu Szymanowskiego (jak i formistów) był ambitny i zarazem trudny do realizacji. Nie należy do rzeczy prostych tworzenie stylu, wyrażającego pewną wspólnotę środków formalnych i wartości ideowych, a co dopiero kreowanie stylu, który miał być syntezą nowatorstwa i tradycji, postępu i nawiązania do przeszłości. Sytuacja kultury polskiej nakładała wszelako na artystów obowiązek wyprowadzenia naszej sztuki z „prowincjonalnych ścieżek na gościniec europejski", nawiązania do nowoczesnych prądów artystycznych. Z owych najnowszych tendencji stylistycznych sztuki polscy artyści, zarówno formiści jak i Szymanowski, wyciągnęli jedno: kult dla prymitywu. Zaczęli usilnie poszukiwać rodzimego prymitywu i znaleźli go w sztuce ludowej — góralskiej. W owych „podhalańskich prymitywach", ich zdaniem, obecne były nowoczesne metody techniczne, odkryli w nich „enklawę prapolskości' czy też — jak pisał Szymanowski — „wiecznie bijące serce rasy".

W tym miejscu wypada przypomnieć, że kultura górali od zarania wieku XX zajmowała szeroki krąg intelektualistów. Interesowała etnografów (Chybińskiego, Zborowskiego). Oddziaływała na literaturę Orkana, rzeźbę Karola Stryjeńskiego i malarstwo Zofii Stryjeńskiej. Szukano w niej tematu i formy. Znacząca jest tu wypowiedź Jana Szczepkowskiego, w której rzeźbiarz opisał własną drogę odkrycia folkloru: „Dążeniem moim od szeregu lat jest dać rzeźbie taką formę, na której zawsze świeci słońce. Pierwszą taką formę jak objawienie dostrzegłem w sztuce naszej ludowej. Malują ją drzwi chaty podhalańskiej, ma je pazdur na kalenicy, jest na łyżniku zarzeźbionym, na skrzyni, na kilimie [...], jest we wszystkim, w całym naszym zdobnictwie ludowym".

Trafną charakterystykę góralszczyzny sformułował Karol Szymanowski: „Górale [...] osiągnęli tę doskonałość formy w budownictwie swym i zdobnictwie, osiągnęli ją również w muzyce swej i tańcu. Jest w tym wszystkim pierwotna dzikość, szematyczność, surowość prymitywu, nieustępliwość granitowej skały, a jednak wyczuwa się tu zupełny brak wszelkiego improwizatorskiego niedołęstwa [...]. Pewność ręki wyziera z każdego architektonicznego szczegółu pięknej staroświeckiej chałupy, z każdej melodii tanecznej, wykonywanej z taką wirtuozowską precyzją przez grajków samouków, a wreszcie, z samej nieomal »baletowej« techniki tańca".

Przeświadczony, że „bogactwo odradzające anemiczną naszą muzykę kryje się w tym polskim barbarzyństwie", nawoływał Szymanowski młodych kompozytorów, aby poszli w jego ślady.

Droga twórcy *Króla Rogera*, prowadząca do odkrycia w folklorze „nowoczesnego prymitywu", nie była krótka ani też łatwa. Jeszcze w 1907 r. w liście do Jachimeckiego pisał Szymanowski o dyletanctwie kompozytorów, którzy brak inwencji ratują „jeżdżeniem po wiejskich oberkowo-sielankowych motywach". Żalił się muzykologowi: „Och te wstrętne wycinanki, te oberki, te dana-dana, to przekleństwo naszej sztuki". Jakże podobnie podchodzili plastycy do sprawy przenoszenia folkloru in crudo do sztuki profesjonalnej. Na zjeździe w 1919 r. uzgodnili: „Wszystkie te parzenice, leluje, gwiazdy tak strojne i tak przekonywające na ścianach i sprzętach izby, zwietrzały przeniesione do mieszkań i domów miejskich i stały się niepotrzebne".

* * *

Nasuwa się pytanie: jak doszło do tego, że wykładnią narodowego języka artystycznego stał się folklor? Artyści świadomi byli, że należy oprzeć się na zgoła innych założeniach i zużytkować „żywą siłę twórczą ludu, a nie gotowe już wzory". Szymanowski myśl tę artykułuje w słowach: „Polska muzyka narodowa to nie skrzepłe widmo poloneza czy mazurka, nie fuga na temat »Chmielu zielony« a wreszcie nie maczuga do miażdżenia głów ideowych wrogów — lecz samotna, szczęśliwa i wolna w nietroskliwości swej pieśń słowicza wśród wonnej, majowej polskiej nocy".

Droga do folkloru Szymanowskiego, Skoczylasa, Stryjeńskiego i innych polskich artystów prowadziła poprzez chaty góralskie, jarmarki, wesela. We wspomnieniach o Karolu Stryjeńskim w roku 1933 Szymanowski pisze o wspólnych obu artystom poszukiwaniach góralskiego prymitywu i o ich przyjaźni, która zrodziła się „wśród śnieżnych, księżycowych nocy zakopiańskich, nieraz spędzonych w ciasnocie chałup, wśród rozgwaru pieśni, tupotu tańców, zawodzeniu góralskich skrzypiec i basów". Tam spotykali się owi „na wspólnym szańcu stojący żołnierze". Ci artyści spod jednego sztandaru doskonale się rozumieli. „Któż bowiem — powie Szymanowski o Stryjeńskim — równie dobrze jak on znał etapy karkołomnej drogi, której punktem wyjścia jest właśnie ów surowy prymityw, a ostatecznym zamierzeniem stworzenie doskonałego dzieła sztuki".

* * *

Styl narodowy miał być syntezą nowatorstwa i tradycji. W poszukiwaniu owej tradycji plastycy zwrócili się do średniowiecza, inni znajdowali cechy wspólne w dziełach Gierymskiego, Podkowińskiego czy Pankiewicza. Mieli zatem na gruncie polskim swoich poprzedników. W muzyce było inaczej — promotor nowoczesnego stylu narodowego nie znajdował linii ciągłej w rodzimej tradycji. Miał za to w osobie Chopina idealnego prekursora „stylu polskiego". Wzór, który łączył wszystkie postulaty stylu narodowego: tworzenia sztuki polskiej na swojskich fundamentach, muzyki nie tracącej nic zarówno ze swoich narodowych odrębności, a stojącej na najwyższym poziomie kultury światowej. Dla Szymanowskiego stał się Chopin wzorem metiér kompozytorskiego, umiejętnego znalezienia formy i klasycznej wprost doskonałości.

Czy idea nawiązania do dziedzictwa chopinowskiego była wynikiem samodzielnych przemyśleń Szymanowskiego? — Kompozytor mógł nawiązać do Stanisława Witkiewicza, który u progu naszego stulecia eksplikował: „Dość wspomnieć imię Chopina, żeby każdy pojął, jaką drogą motyw sztuki ludowej staje się nie tylko bogactwem danego społeczeństwa, ale zarazem jednym z najcenniejszych klejnotów europejskiej cywilizacji". Twórca „stylu zakopiańskiego" nawoływał wręcz o nowego Chopina. Szymanowski mógł również pójść za wskazówkami młodopolszczyków: Stanisława Przybyszewskiego czy Artura Górskiego lub też uwzględnić wcześniejsze konstatacje Ignacego Paderewskiego i Ludomira Rogowskiego. Jest fak-

Dokończenie na str. 12—13

Na przykładzie FSC w Lublinie

Oswajanie z reformą

Jadwiga Jeżyna

NA POCZĄTKU ubiegłego roku nikt jeszcze nic nie wiedział. Nie ustalone do końca ceny, nie potwierdzone dostawy surowców, dezorientacja i jednocześnie ostrożność w podejmowaniu decyzji przez dyrekcję i szefów zakładów produkcyjnych fabryki. Zaś załoga wręcz nie wierzyła w możliwość jakichkolwiek pozytywnych zmian.

W styczniu minionego roku zanotowałam na taśmie magnetofonowej opinie pracowników FSC. Na pytanie: czy wiedzą, że w fabryce wprowadzana jest reforma gospodarcza, większość odpowiedziała twierdząco. Na jego drugą część: czy widać reformę w zakładzie — nie usłyszałam pozytywnej odpowiedzi. W fabryce nic się nie zmieniło — stwierdzali ludzie z rozdrażnieniem — kłopoty jak były, tak są, dziś nawet większe. Nie zawsze jest co robić ze względu na brak materiałów.

Tymczasem nieustannie odbywały się narady i zebrania ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za wdrażanie reformy w zakładzie. W marcu robotnicy powtarzali nadal, że jej nie widać, ale pojawiały się już głosy łagodniejsze, że coś niby drgnęło.

Minął rok. Dyskusja zakładowa (i nie tylko) wokół reformy trwa. Modyfikowane są wcześniejsze ustalenia, które w praktyce nie zdały egzaminu. Prawdą jednak pozostaje, że przeciętny pracownik nadal kiepsko orientuje się w zasadach reformy, mimo edukacyjnych wysiłków środków masowego przekazu. Bierze się to chyba stąd, że ludzie nie tyle interesują się mechanizmami reformy, co konkretnymi jej wynikami w postaci zastawionych półek w sklepach i pełnego portfela. O nowym modelu gospodarki mówią więc przeważnie ci, którzy ustalają jego reguły, bądź czuwają nad ich wdrażaniem.

Oddajmy głos ludziom, którzy pracując w samodzielnym, samofinansującym się przedsiębiorstwie, realizują reformę na co dzień, każdy według swoich kompetencji i obowiązków.

Oto dwa pytania, które zadałam trzem pracownikom FSC:

1. Na czym powinien polegać proces wdrażania reformy i od czego zależy jej powodzenie? 2. Czy w zakładzie widać korzyści z wprowadzanych od roku reform?

Odpowiadają: robotnik z kuźni Marek Kawecki, kierownik zakładu odlewni inż. Cezary Łukaszczuk i zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych dr Szczepan Samonek.

Marek Kawecki:

1 Powodzenie reformy zależy od właściwego jej przeprowadzenia, co nie znaczy, że od windowania w górę cen. Już na początku daje się zauważyć szereg potknięć. Dziś szuka się spekulantów na targach, a nie widzi się ich w zakładach pracy. Wygórowane ceny umowne nie goszczą tylko na półkach sklepowych, ale funkcjonują również w handlu międzyzakładowym. Trzeba też wziąć pod uwagę, że przedsiębiorstwa wchodziły w reformę z różnym potencjałem finansowym i technicznym. Ci, którzy strajkami wywalczyli więcej, dziś mają lepiej. Kuźnia na przykład od dłuższego czasu stara się o kartę hutnika dla swych pracowników, czyli o przejście na układ zbiorowy przemysłu hutniczego, i jakoś nie może jej uzyskać. Tymczasem wprowadzenie karty wydaje się jeszcze bardziej oczywiste, odkąd FSC podlega Ministerstwu Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego. Argumentem nie może być to, że przedsiębiorstwa obecnie samofinansują się. Decyzje takie należą w dalszym ciągu do rządu.

Reformę trzeba realizować również mądrymi posunięciami kadrowymi. U nas w kuźni konieczne są na przykład zmiany technologii niektórych linii produkcyjnych, ale w zakładzie znajduje się wielu „specjalistów" w tej dziedzinie, którzy niestety nie mają pojęcia o swej pracy. Niektóre technologie są wręcz bezmyślne. Nie mówię wcale o przykładach wymagających środków inwestycyjnych, ale o takich, gdzie zamiast dwóch ludzi na danym stanowisku pracuje jeden (bo tego wymaga technologia) i odwrotnie. Myślę, że proces wdrażania reformy musi być związany z usuwaniem dawnych zaniedbań czy nawyków i dostrzeganiem drobnych z pozoru niedociągnięć. Sądzę, iż główną rolę odegra tu konieczność osiągnięcia wysokiej wydajności pracy, co zmusi do większej dyscypliny.

2 Mam mieszane odczucia. Z jednej strony można stwierdzić, iż właściwie coś się zmieniło. Zauważalne są przedsięwzięcia nowej dyrekcji zakładu w sferze finansowej i organizacyjnej. Przeprowadzono podwyżkę płac, wprawdzie niewielką, ale zawsze... Otrzymaliśmy też nagrody z zysku. Jeśli ktoś faktycznie dużo pracuje, ma szansę sporo zarobić. Braki kadrowe skłaniają nas często do roboty po 12 godzin na dobę, żeby wykonać plan. Choć to się wiąże z finansami, nie zawsze jednak zachwyca. Jak człowiek za dużo otyra się w tym huku i pyle, ma dość wszystkiego, nie chce i zarobionych pieniędzy.

Z drugiej strony mam wrażenie, że działania są jeszcze zbyt opieszałe. Za mało jest inicjatywy, aktywności. Pomijamy drobiazgi, które jutro rozrastają się do rangi problemu. Produkcji towarzyszą okresowe zrywy nastawione na wykonanie planu. Być może związane jest to z postawą niektórych pracowników, nie reagujących na żadne bodźce. Są jeszcze wśród nas ludzie, którzy jak najmniejszym wysiłkiem chcieliby zarobić krocie. Przyczyną jest też niewątpliwie nasz nie najlepszy start do reformy, o czym mówiłem na początku.

Cezary Łukaszczuk:

1 Reforma jest dla mnie symbolem i oczywiście sposobem wyprowadzenia kraju z kryzysu. Nie zawaham się powiedzieć, iż obecnie dokonuje się w Polsce rewolucja gospodarcza, jakiej nigdy do tej pory nie było. Nie obeszło się oczywiście bez błędów, które skorygowała już sama praktyka. Mam na myśli początkową partyzantkę w cenach, samowolę przedsiębiorstw, kiedy to każde ustalało sobie ceny kierując się wyłącznie własnymi korzyściami, a pomijając dobro ogólniejsze. W warunkach istniejącej między zakładami kooperacji, produkowanie tego, co się opłaca, a nie tego, co potrzebne, jest niedopuszczalne. Odkłada się bowiem ujemnie na całej gospodarce. Wychodząc z tego założenia, odlewnia FSC powinna wykonywać proste, mniej kosztowne odlewy. Wówczas jednak Żerań nie produkowałby samochodów.

Rys. Józef Tarłowski

Reformę mają wprowadzać w życie ludzie. Od nich więc zależą jej rezultaty. Sądzę jednak, iż między pojęciami „człowiek" i „reforma" istnieje sprzężenie zwrotne. Solidna praca powinna przynieść zysk do podziału. Koło to musi jednak wprawić w ruch człowiek. Załoga winna jest reformie inicjatywę i zrozumienie. Reforma zaś musi być wiarygodna dla ludzi głównie pod względem finansowym i zaopatrzeniowym, a „wychodząc" z zakładu, ma uwidaczniać się towarem na rynku.

Proces wdrażania reformy w odlewni polegać będzie od tego roku na realizowaniu zasad wewnętrznego rozrachunku gospodarczego; każdy zakład uzyska samodzielność. Stworzy to bodziec do efektywniejszej pracy. Do tej pory fakt, iż na przykład kuźnia pracowała lepiej od resorowni, nie miał dla osób zatrudnionych w tych zakładach żadnego znaczenia, ponieważ wszystkie fundusze szły do jednego garnka. Obecnie zakłady gospodarując samodzielnie, będą zainteresowane zwiększeniem produkcji.

W realizacji zasad reformy liczyć się musi rozsądne gospodarowanie zużyciem materiałów, paliw, a także środkami finansowymi. Nie mogą rosnąć w nieskończoność płace przy zaniedbaniu technicznym zakładu. Trzeba uwzględniać wszelkie potrzeby. Dlatego bezpośredni interes załogi nie zawsze będzie pokrywał się z interesem administracji.

2 Zmiany na lepsze powoli się dokonują. Dotyczą one między innymi tak oczekiwanego wzrostu wydajności pracy. W ciągu trzech ostatnich miesięcy minionego roku załoga odlewni wykonała plan produkcyjny w 100 proc. (w październiku nawet z niewielką nadwyżką). Jest to niewątpliwy efekt ludzkiego wysiłku. Notujemy przypadki naprawdę zasługujące na wyróżnienie. Na przykład w formierni żeliwa ciągliwego brygada Stanisława Kozłowskiego w ciągu sześciu dni przekroczyła zadania o 420 form, nadrabiając w ten sposób pracę jednej dniówki. Niektóre brygady stale przekraczają ustalone normy. Bodźcem do wzrostu wydajności były zwiększone zarobki. Trzeba jednak pamiętać, że efektów reformy nie da się przeznaczyć wyłącznie na płace. Zysk należy dzielić rozsądnie. Część funduszy — jak mówiłem — pochłoną potrzeby rozwojowe zakładu. W budżecie muszą znaleźć się pieniądze na poprawę warunków socjalnych i bhp oraz modernizację parku maszynowego.

Szczepan Samonek:

1 Reforma, aby mogła być prawidłowo wdrażana, musi otrzymać społeczną akceptację. Załoga powinna się utożsamiać z jej zasadami. Prawidła reformy trzeba wprowadzać do najniższych ogniw strukturalnych przedsiębiorstwa, by nie zatrzymała się ona na szczeblu zarządzających, ale dotarła i do robotników. Proces wdrażania reform wymaga dostosowania struktur organizacyjnych do nowych potrzeb. W FSC takie zmiany zostały już częściowo wprowadzone.

Nowe warunki wymagają też innej, dostosowanej do zasad trzech S, współpracy z kooperantami, jednostkami zwierzchnimi i odbiorcami. Wiadomo, iż na przykład w przypadku ministerstwa luźniejsza będzie jego więź z samodzielnym zakładem. Natomiast w kontaktach z kooperantami dotychczasowe zależności administracyjne zostaną poważnie zredukowane przez istotne czynniki ekonomiczne, jak chociażby system cen. Reforma zakłada możliwość istnienia konkurencji we współpracy kooperacyjnej. Wybrany zostaje ten partner, który produkuje i sprzedaje taniej. Proces wprowadzania reformy w FSC będzie zależał w dużej mierze od prawidłowej realizacji zasad zakładowego rozrachunku gospodarczego. Polega to na dotarciu z reformą do poszczególnych zakładów produkcyjnych fabryki, jak kuźnia, odlewnia, kołownia itp.

Inaczej niż w ubiegłych latach wygląda sprawa planów produkcyjnych. Zadania na bieżący rok opracowujemy sami; ich wyznacznikiem są możliwości pokrycia potrzeb surowcowo-materiałowych, stan zatrudnienia i zdolności produkcyjne.

Powodzenie wprowadzanych zmian warunkuje wiele czynników. Istotna jest tu możliwie duża stabilność reguł gry w reformie; chodzi o to, by jej zasady były modyfikowane jak najrzadziej. Stworzyłoby to bowiem przesłanki polityki długofalowej. Jeśli natomiast w ciągu jednego roku wprowadza się często korekty, odbijają się one niekorzystnie na przedsiębiorstwie.

Pozytywne wyniki reformy zależą również od konsekwencji kierownictwa zakładu w podejmowaniu wszelkich decyzji. Samorządne przedsiębiorstwo może funkcjonować, jeśli zostaną stworzone warunki do szerokiego uczestnictwa załogi w jego życiu społeczno-gospodarczym. Mam na myśli działalność Rady Pracowniczej i innych organizacji, z których strony potrzebna jest pomoc i jednocześnie świadomość odpowiedzialności za powodzenie wprowadzanych przeobrażeń.

Ponadto zasady reformy, aby przyniosły oczekiwane skutki, powinny zagwarantować przedsiębiorstwom warunki równego startu, tzn. stwarzać preferencje zakładom zaniedbanym pod względem płacowym, o zdekapitalizowanym majątku, i zapewnić im większy dopływ środków rozwojowych.

2 Efekty reformy widać, i to w wielu płaszczyznach. Poprawiły się wyniki ekonomiczne fabryki. Pod koniec ubiegłego roku plany miesięczne były wykonywane nawet z nadwyżką, a ich poziom przewyższał wyniki analogicznego okresu w roku 1981. Ponadto fabryka uzyskała większą swobodę w dysponowaniu wypracowanymi środkami płacowymi, rozwojowymi i pochodzącymi z odpisu dewizowego. Zwiększyło się zainteresowanie efektywnością gospodarowania ze strony kierownictw zakładów produkcyjnych. Załoga natomiast otrzymała dużą podwyżkę płac. Zwiększony wysiłek procentuje w postaci wydatnego wzrostu zarobków. W IV kwartale minionego roku w istotny sposób zmodyfikowano system wynagradzania w ramach małej reformy, którą umożliwiła Uchwała nr 135 Rady Ministrów. Poprzez wzrost płac fabryka chce osiągnąć postęp w zakresie wyników produkcyjnych.

Bajka noworoczna

Waldemar Piasecki

PEWNEGO razu, dawno temu, w czasie wielkiej reformy gospodarczej, pluszowe misie ogłosiły strajk. Strajk był nielegalny, bo nie wykorzystano wszystkich dostępnych dróg i ścieżek porozumienia. Do misiów rychło dołączyły Mikołaje, szmaciane lalki i drewniane jeże. Rzecz zanosiła się poważnie, a konsekwencje były trudne do przewidzenia. Zabawki zabarykadowały się w magazynie. Uzbrojone w plastykowe florety, obłożone stertami klocków, czekały z zaciętą determinacją na rozwój wydarzeń.

Kierownictwo było zaniepokojone i zaznaczyły się w nim pierwsze rysy podziału. Rzecznicy rozwiązań radykalnych domagali się wywalenia drzwi magazynowych i pacyfikacji pomieszczenia, nawet za cenę ewentualnych guzów od gradu klocków i zadrapań od floretów. Liberałowie byli mniej dziarscy. Przekonywali, że tylko rozmowy z przywódcami strajku, w tonie pojednawczym, acz stanowczym, rzeczowe, acz pryncypialne i konstruktywne, nie pozostawiające jednak marginesu na anarchizm, przyniosą najlepsze rezultaty. Poza tym zawsze można przecież zdecydować się na wariant bardziej energiczny, jak by nastąpiło załamanie mediacji — argumentowali. Radykałowie, zżymając się, ustąpili.

Do pierwszego kontaktu ze strajkującymi zabawkami wytypowano Joannę Brydę, pracującą w firmie od samego początku, brygadzistkę na kroju. Skoro — kalkulowano — jest ona specjalistką w wykrawaniu z tkanin i pluszu korpusów lalek i misiów (oraz ich głów!), powinna zostać przyjęta, jeśli już nie życzliwie, to na pewno w ogóle. Po zapoznaniu pani Joanny z sytuacją i udzieleniu instruktażu wysłano ją do magazynu. Proponowano też odważnej brygadzistce obstawę, w postaci rosłych pracowników Spółdzielni „Dozoru Mienia", ale ta odmówiła powodowana troską o wiarygodność misji.

I w tym miejscu bajka się plącze, gmatwa, można powiedzieć nawet urywa. Wersje rozwoju wypadków są różne, zasadniczo ze sobą sprzeczne. Sama zaś Joanna Bryda milczy tajemniczo i uśmiecha się zagadkowo.

Bezspornym faktem jest jednakowoż to, że po trzech kwadransach zobaczono ją maszerującą na czele kolumny misiów, lalek, Mikołajów i przeróżnych zwierzątek. Pochód szedł raźno w stronę biurowca Zarządu, podśpiewując konstruktywne piosenki przedszkolne (m. in. „Hej ho, hej ho! Do pracy by się szło"). Właśnie ów tryb warunkowy w tekście ostatniej przyśpiewki napawał obawą kierownictwo ukryte za firankami i bacznie śledzące ruchy kolumny. Ano właśnie, dlaczego: „by się szło", a nie po prostu: „szło", albo: „idziemy z ochotą"? Radykałowie zacierali ręce, wietrząc fiasko metod liberalnych.

Pochód dotarł na pierwsze piętro i tu stanął. Wyszedł go powitać prezes firmy, Mieczysław Sławek. Długo zastanawiał się przedtem, jakiej użyć formuły wobec takiego gremium. W końcu jednak wszystko mu się pomieszało. Rozłożył więc szeroko ramiona i z serca popłynęło: „Moi drodzy! Serdecznie dziękuję Wam za przybycie". Odpowiedział pomruk aprobaty.

Miś Grajek, jak się okazało lider strajku, podziękował prezesowi i zaproponował rokowania w zespołach po troje z każdej strony (konfliktu). Od razu wymienił też reprezentantów zabawek: drewnianego Jeża Ostroboka, szmacianego Mikołaja Gwiazdkowego i siebie. W rezerwie pozostawać miała Lala Długonoga (również z dzianiny). Prezes Sławek zaproponował od siebie: panią wiceprezes Zofię Krawczyk, panią Joannę Brydę i siebie. W rezerwie pani Halina Małaczyńska, która w firmie przepracowała ćwierć wieku, a od kilku miesięcy zasłużenie odpoczywa na emeryturze. Wybrane delegacje udały się do gabinetu prezesa, a dla reszty kazano podać napój orzeźwiający na bazie koncentratu firmy polonijno-zagranicznej „Interfragrances".

Przez pewien czas przy stole panowała cisza. Wreszcie Miś Grajek nie wytrzymał:

— Czas, prezesie, kończyć z tymi praktykami, bo będzie z wami źle...

Prezes zaniepokojny ogólnością sformułowania zapytał ostrożnie:

Fot. Cezary Krupa

— Z jakimi praktykami?

— Z wysyłaniem nas za granicę, a przez to zubożaniem krajowego rynku zabawkarskiego, i to w czasach, kiedy tyle się mówi o potrzebie uchronienia najmłodszych członków naszego społeczeństwa przed skutkami kryzysu — wyrzucił jednym tchem Grajek, po czym w stronę pozostałych członków delegacji rzucił pytanie — Dobrze gadam, co?

Jeż Ostrobok i Mikołaj Gwiazdkowy pokiwali aprobująco głowami, z tym, że ten drugi bardziej przekonywająco, ze względu na długą brodę.

— Moi drodzy, jesteście źle doinformowani, a może nawet celowo wprowadzeni w błąd... Na eksport wysyłamy was niecałe 10 procent. Dużo mniej niż rok temu, a już dużo-dużo mniej niż w 1980 roku. Wierzcie mi... — ripostował prezes tonem dramatycznym.

— Mniej słów, więcej liczb... — zauważył Mikołaj. Przydałyby się konkrety, prezesie.

Odpowiadała wiceprezes:

— Przede wszystkim wartość produkcji. Zakładaliśmy 160 milionów, a do tej pory zrobiliśmy już: zabawek z dzianiny za 95 mln zł, z tworzyw sztucznych za 32 mln, z drewna za 26, a ze skóry za — piętnaście. Ile to razem? Ano 168 milionów. Do końca roku z pewnością dociągniemy do 170 mln, a więc wykonamy plan w ponad stu sześciu procentach. Z tej liczby na eksport pójdzie produkcja za około 15,5 mln. To naprawdę niewiele. A są w kraju firmy, które pchają na Zachód niemal 9/10 produkcji, na przykład koni na biegunach.

Jeż Ostrobok, milczący dotąd mediator, natarł:

— Pani nam tu o przekraczaniu planu... A mi się zdaje, że wychodzicie „na swoje", śrubując ceny i to jest przyczyna wykonania. Za granicę znów sprzedajecie nas za psie pieniądze. Takie, na przykład, Lale Długonogie idą do Włoch bardzo taniutko. Podobnie zresztą, jak te z „Dziwexu"!

— To nie tak. Zgoda, że wartość produkcji wzrosła w tym roku bardzo, ale w liczbach porównywalnych postęp jest o 5 procent, czego na początku roku nikt się nie śmiał spodziewać. Wykonamy w br. 2,1 mln sztuk zabawek i też was będzie więcej, niż rok temu, o około pięć procent. Robimy was w 150 różnych asortymentach i tylko tu się można przyczepić, że jest spadek, bo faktycznie dociągaliśmy już nawet do dwustu. Nasza zabawka kosztuje przeciętnie 81 zł, z czego zaledwie 6,50 zł stanowi nasz zysk (ledwie 8 procent). Prawie wszystkie firmy zabawkarskie zyskują więcej. A za granicę sprzedajemy was wcale nie tak tanio. Konkurencja jest dziś ogromna. Bardzo ekspansywni i atrakcyjni są producenci azjatyccy, zwłaszcza Hong Kong. To, że się utrzymujemy na niektórych rynkach, to jest w ogóle cud — tłumaczyła wiceprezes.

— A tak bez cudów. Ile z tego macie „zielonych"? I w ogóle dokąd nas wywozicie?

— Na swoim własnym koncie mamy ponad 20 tysięcy dolarów, z odpisów, jakie daje nam „Cooperim". A dokąd was wywozimy, to też żadna tajemnica. W zdecydowanej większości „idziecie" za dolary, czyli do drugiego obszaru płatniczego. Za ruble właściwie tylko do Czechosłowacji i na Kubę. A na Zachód? Anglia, Austria, Belgia, Holandia, Dania, Irlandia, Norwegia, Szwecja, Szwajcaria, Francja, Włochy. Dawniej zdarzały się także Nowa Zelandia, Liban, USA oraz jedno państwo afrykańskie, którego nazwy nie pamiętam. Naszym stałym i najlepszym odbiorcą jest Szwecja, kupująca zabawki drewniane, jeże, Mikołaje. A w ogóle Mikołaje bierze od nas cała Skandynawia i to dużo. Włosi biorą lalki. Kubańczycy florety.

Dialog się rozwijał. Delegacja zabawek powtarzała, że za mało ich widać w Lublinie, regionie i kraju w ogóle, a za dużo — w Rzymie, Sztokholmie, Paryżu i Londynie. Że w tych, skądinąd pięknych, miejscach dzieci są rozwydrzone dobrobytem i nie dopieszczają misiów, lal i jeży. Że przemawiają w dziwnych językach, nieznanych naszym zabawkom. Znowuż kierownictwo mówiło o swoich kłopotach, m. in. z kontrahentami zagranicznymi, którzy też ich nie dopieszczają; przy cenach marudzą, wartość surowca podważają, konkurencją straszą. A jak by nie te dolary, to skąd by się miały brać dewizy na dobre zagraniczne surowce, albo choćby na taki „głupi" butapren, bez którego można by kleić na... ślinę. I tak się kółko zamknęło parę razy. Bez kompromisu. Kółko zatem — graniaste, czterokanciaste.

Z gabinetu prezesa wiało niemożnością i już się radykałowie cieszyli, kiedy rzecz się zdarzyła jak w bajce. Bo inaczej być przecież nie mogło. Weszło zatem na pokoje rokowań dziecko piękne, płowowłose, Anetka Pietraś, lat trzy i pół, córeczka dekoratorki lalek onej firmy. I tu znów bajka się gmatwa, zaciemnia, rzec by można urywa.

Pewne jest natomiast, że po kwadransie z gabinetu dały się słyszeć podniesione głosy, spontaniczne oklaski oraz pohukiwanie: „NO TO PODPISUJEMY, PODPISUJEMY...". Dziś już nie wiadomo, czy to był prezes Sławek, czy Misio Grajek. Różnie mówią...

Treść podpisanej umowy nie jest znana. I nawet plotka dziwnie milczy w tej sprawie. Ktoś tylko wspomniał, że zabawki ogólnie uzyskały dostęp do kluczowych decyzji firmy, a Jeż Ostrobok, został doradcą ds. eksportu. Podobno firma ma do minimum ograniczyć zyskowność, tak aby jej zabawki były najtańsze w kraju. Żeby oswoić z „emigracją" do innych krajów lale, misie, Mikołaje, jeże, słonie, florety, klocki i samochodziki — w firmie mają być dla nich wyświetlane filmy fabularne o problemach najmłodszych w tych właśnie innych krajach. Na początek „Sprawa Kramerów". Potem „Timur i jego drużyna". Taka jest cena kompromisu.

Tak w zasadzie kończy się ta bajka. Pozostaje tylko wyjaśnienie, skąd ja ją w ogóle znam. Otóż opowiedział mi ją mój 2,5-letni syn. Kiedy spytałem, skąd on ją zna, wskazał na siedzącego na podłodze dwukolorowego, frotowego miśka i powiedział: „Spytaj jego". Był to misiek, którego dostał ode mnie na Mikołaja. Na metce, obok ceny 265 zł, widniała nazwa firmy: Zabawkarska Spółdzielnia Pracy „BAJKA" w Lublinie. Nie wykluczone zatem, że opisane wyżej wypadki tam właśnie się rozegrały. Nazwiska w każdym razie się zgadzają.

Kolejne „Spotkania"

KOLEJNE numery „Spotkań z Zabytkami" prezentują się lepiej, lub gorzej, ale nigdy nie schodzą poniżej poziomu, który można by nazwać przyzwoitym, nie mając oczywiście na uwadze kwestii etycznych. Po prostu jest to tytuł redagowany inteligentnie, przez ludzi zorientowanych zarówno w problematyce kultury, jak i w rzemiośle edytorskim, którego nie da się uprawiać skutecznie, jeśli nie posiada się specyficznego instynktu, pozwalającego rozszyfrowywać społeczne oczekiwania poznawcze. Sądząc po wcześniejszych i ostatnim (9), kolejne numery „Spotkań" redagowane są właśnie z pomocą owego instynktu, który w najnowszym wydaniu „Informatora" obok tekstów z klasycznej, rzekłbym, historii sztuki — „O stylu zakopiańskim" Barbary Tondos, „Znane i nieznane warownie pienińskie" Piotra Stępnia, „Medaliony Andrzeja Pruszyńskiego" Aliny Cybulskiej — każe umieścić teksty o zabytkowych solniczkach, monetach polskich, telefonach w mieście Łodzi, a poza tym impresje z podróży po Związku Radzieckim i prezentację Muzeum Sprzętu Pancernego w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu. W numerze tym znajdujemy też „portret" prof. Wojciecha Kalinowskiego, dyrektora Ośrodka Dokumentacji Zabytków, w którego ramach funkcjonuje redakcja, o czym warto wiedzieć, albowiem przedstawienie wybitnego historyka sztuki — polemizowaliśmy sobie kiedyś ostro — jakoś nie trąci hagiografią...

Z lubelskiego punktu widzenia zwraca natomiast uwagę artykuł Mieczysława Kurzątkowskiego (patrz: cykl tegoż w „Kamenie" o dawnych samochodach) pt. „Nałęczów", mieszczący się w ciągu publikacji o polskich zdrojach. Lekką dłonią napisany, monograficzny i zaopatrzony w liczne fotografie, winien trafić na widoczne miejsce w bibliotekach tych wszystkich — a są ich tysiące — co czują sentyment do uzdrowiska, które jeszcze w 1957 roku traktowane było przez konserwatorów zabytków jako ubogie w obiekty godne zachowania („zabudowa z XIX i XX w. nie tylko nie ma walorów zabytkowych, ale nawet budzi zastrzeżenia ze względów estetycznych", jak stwierdzono we wnioskach studium historyczno-urbanistycznego Nałęczowa).

I jeszcze jeden temat swojski znajdziemy w numerze: rzecz Marka Budziarka „Kościół i klasztor kapucynów w Lublinie", ujętą w stylistyce nadto „akademickiej", albo trafniej katalogowej. No cóż, i instynkt redakcyjny przechodzi chwile znużenia...

„Spotkania z Zabytkami" mają przecież poważną wadę: kosztują 120 zł. Rozumiem: kolor, świetny papier etc., ale jeśli serio traktuje się własne dążenie do popularyzowania idei opieki nad zabytkami w szerokich kręgach społecznych, należałoby — wydawco! — pomyśleć o obniżeniu tej ceny. W przeciwnym wypadku przybywać będzie zdezaktualizowanych egzemplarzy pisma w witrynie księgarni na warszawskiej Ścianie Wschodniej i w Klubach MPiK kilkunastu miast kraju.

K.

DYSKRETNY UROK SAMOCHODU (3)

Lata dojrzałości i syntezy

Mieczysław Kurzątkowski

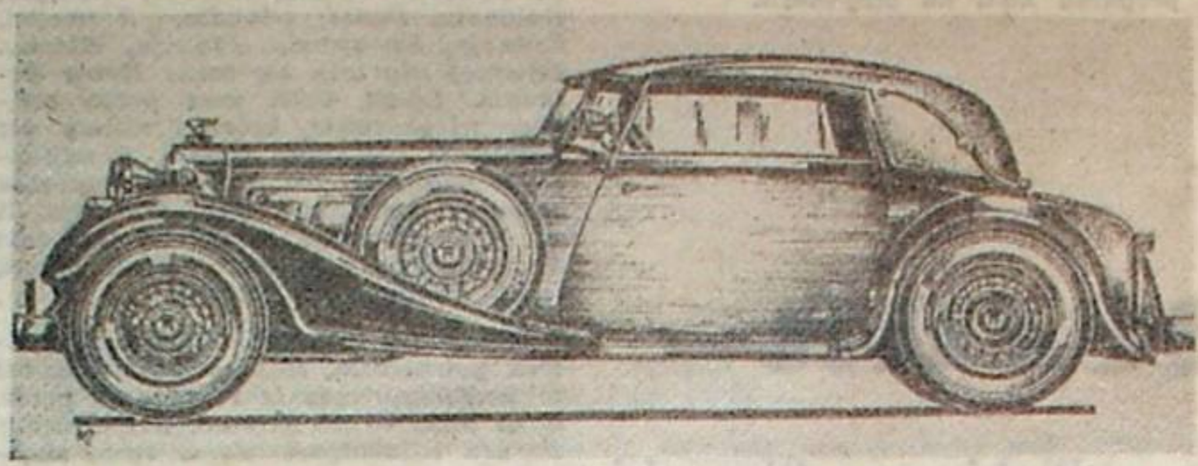

Coupé-kabriolet Horch 600 z 1931 r.: Wszystkie cechy charakterystyczne karoserii „opływowej".

NIGDY samochód nie zmienił się tak szybko i radykalnie jak w trzyleciu 1931 — 33. Na paryskim salonie automobilowym w październiku 1930 r. niepodzielnie panowały karoserie hołdujące kanonom geometrycznej estetyki, zbudowane na konwencjonalnych podwoziach. Napęd na przednie koła w ekskluzywnym Cordzie, znanym już sprzed roku, nadal budził dyskusje na temat celowości takiego rozwiązania. W cztery lata później pod szklanym dachem Grand Palais nie było już innych nadwozi niż „opływowe", przedni napęd w samochodach o średnim i małym litrażu (Citroën, Audi, Adler, DKW) został akceptowany jako alternatywa dla układu klasycznego, wystawiono też modele tylnosilnikowe, już nie eksperymentalne — jak dotychczas — lecz rynkowe (Mercedes-Benz 130, Tatra 77). Zjawiła się też nowa kategoria samochodu — pełnowartościowego, czteromiejscowego wozu popularnego o względnie niskiej cenie i taniego w eksploatacji. Została otwarta droga do coraz większej dostępności auta.

Dopingiem do poszukiwania nowych rozwiązań był w znacznej mierze kryzys gospodarczy, zmuszający do wynajdowania sposobów zwabienia przerzedzającej się klienteli. W następstwie załamania się koniunktury znikło z rynku więcej niż 120 producentów samochodów osobowych. Osiągnięcia techniczne końca lat dwudziestych otwarły nowy obszar dla inwencji. Wdrożenie technologii budowy nadwozi z blach tłoczonych, na stalowym szkielecie lub samonośnych, pozwoliło na niekonwencjonalne formowanie kształtów. Jednocześnie zaczęło liczyć się zmniejszanie oporów aerodynamicznych (współczynnika Cx). Uzyskanie, w wyniku modyfikacji karoserii, oszczędności w zużyciu paliwa lub większej szybkości, przy niezmienionej charakterystyce technicznej i klasyfikacji podatkowej silnika, zaczęło przemawiać do potencjalnego nabywcy. A nadwozie „opływowe" połowy lat trzydziestych zmniejszało współczynnik oporu aerodynamicznego o jedną trzecią w porównaniu z karoserią „geometryczną".

Rozpoczął się okres linii „opływowej", trwający do końca lat czterdziestych. Reklamy, prospekty i artykuły o nowych modelach nie uzasadniały jednak ich zalet wskazywaniem, jak obecnie, na coraz korzystniejszy współczynnik Cx. Przemawiać miał sam kształt spektakularnie „aerodynamiczny", który stał się fetyszem, formułą estetyczną służącą wywołaniu wrażenia łatwego „przenikania" samochodu przez opór powietrza. Uległość wobec modnych tendencji spowodowała nawet w niektórych wypadkach obce w świecie techniki zjawisko regresu. Gdy awangardowe modele samochodów Chrysler, De Soto, Willys, Singer, Triumph z lat 1933 — 34 nie spotkały się z oczekiwanym zainteresowaniem klienteli, firmy te cofnęły się do formy nadwozi wprawdzie wyglądających na opływowe, lecz o kształcie mniej korzystnym pod względem aerodynamicznym.

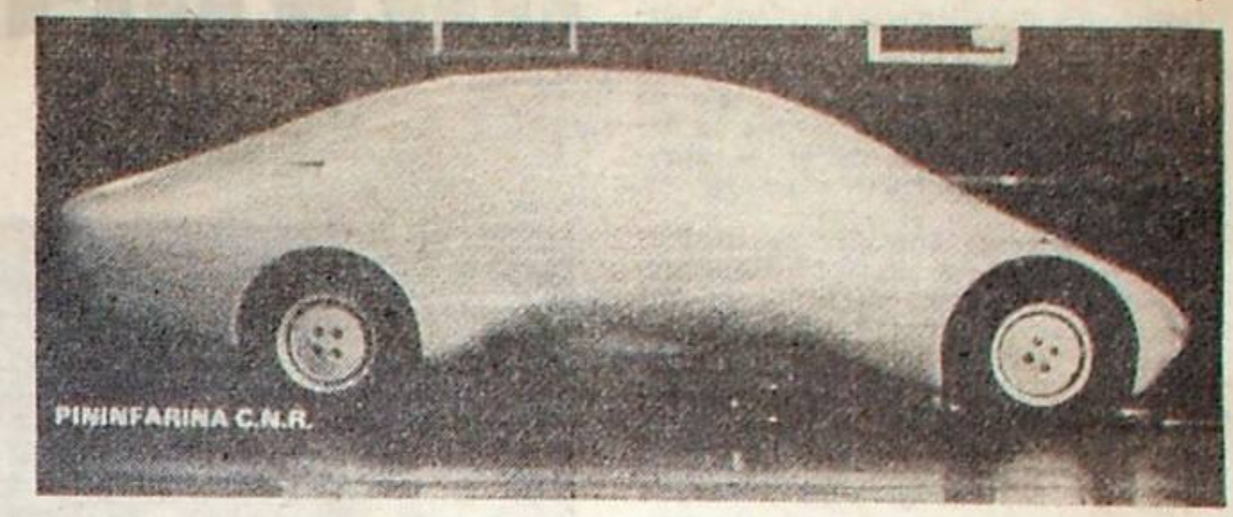

Studium bryły aerodynamicznej karoserii Pininfarina z 1978 r.: Futurologiczne propozycje nadwoziowe przyjmowane są jako nieunikniona forma samochodu „roku 2000".

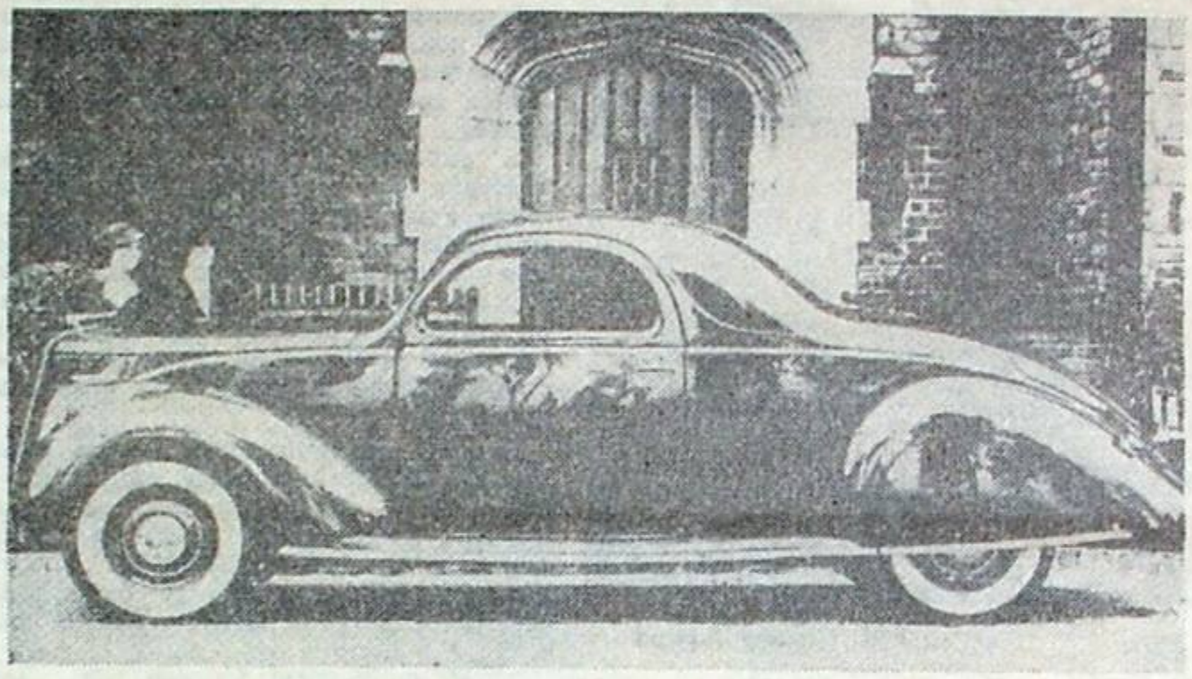

Coupé Lincoln Zephyr z 1937 r.: Wrażenie łatwego przenikania przez opory powietrza.

Standard Vanguard z 1947 r.: Karoseria „syntetyczna", „pontonowa" stała się w latach pięćdziesiątych wyłączną formą nadwozia.

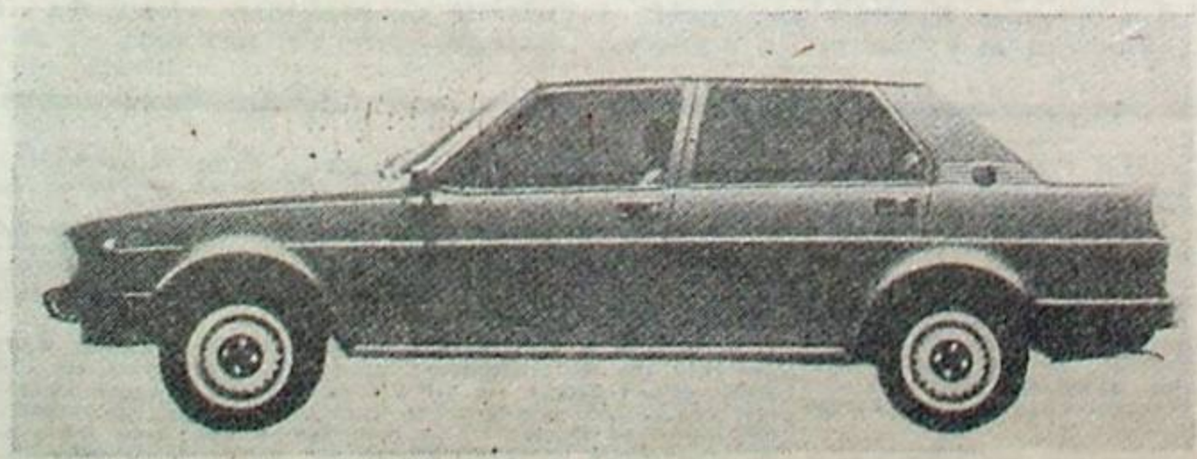

Alfa Romeo Giulietta z 1978 r.: Relacje między frontem i tyłem auta nie muszą być harmonijne, mogą być nawet antyestetyczne.

W końcu 1931 r. firma Horch zademonstrowała swój dwunastocylindrowy, sześciolitrowy, 120-konny model 600. W jego nadwoziu wystąpiły w sposób zaskakująco dojrzały — jak na formę prekursorską — wszystkie cechy charakterystyczne karoserii okresu „opływowego". Kadłub jest trójsegmentowy; przybył bowiem bagażnik jako integralny składnik nadwozia. Prostokątne obrysy zostały zastąpione skosami pancerza chłodnicy, szyby przedniej, drzwi. Dach łagodnym łukiem spływa do tyłu. Błotniki, na razie tylko przednie, z konturowych zostały zamienione na otulające.

W okresie „opływowym" nadwozie, wyzwolone z kanonów estetyki geometrycznej, osiągnęło stadium maksymalnej indywidualizacji. Wszystkie jego składniki — maska, kabina, bagażnik, błotniki, atrapa — mogły być kształtowane w sposób tak różnorodny, że pozwalały projektantom na formowanie karoserii w nieograniczonej liczbie odmian. W rezultacie nie tylko każda marka, ale i każdy jej model otrzymywał własny, odrębny wygląd. Odosobnione były wówczas sytuacje, dzisiaj powszechne, by w tym samym nadwoziu oferowano silniki o różnych charakterystykach technicznych.

Lata trzydzieste to czasy, w których budowano niemal wszystkie rodzaje nadwozi, jakie występowały kiedykolwiek w historii samochodu. Powstają jeszcze, zanikające już, coupés-de-ville, landolety i torpeda. Zjawiają się nowe formy pojazdów: kombi i wojskowy wóz terenowy, w Polsce nazywany „łazikiem". W niektórych krajach wykształcają się pewne „narodowe" formy nadwozi. We Francji jest to limuzyna „familiale", przestronny wóz średniej klasy, mogący pomieścić trzy pokolenia rodziny, w USA — „business coupé" na podwoziu standardowej długości, lecz z małą kabiną, w zasadzie dwumiejscową, w Niemczech — paradny, czterodrzwiowy i sześciookienny kabriolet.

Niemal każdy model oferowano w kilku, przeciętnie 6—7, zamkniętych i odkrywanych wersjach nadwoziowych, przy czym prawie zawsze jest wśród nich także odmiana dwumiejscowa. Lata trzydzieste i czterdzieste są w historii również piękną epoką kabrioletu. Torpedo i faeton to samochód odkryty, w którym w razie potrzeby chroni jadących od góry rozkładana opończa, a z boków przypinane osłony celuloidowe. Kabriolet to samochód zakryty, w którym można dach złożyć, a szyby opuścić w głąb drzwi lub ściany. Między 1930 a 1950 r. niemal wszystkie modele wykonywane były również z tego typu nadwoziem, w jednej lub kilku spośród siedmiu możliwych wersji różniących się liczbą miejsc, drzwi, okien. Kabriolet cieszył się powodzeniem wbrew zdrowemu rozsądkowi, gdyż był droższy, cięższy, mniej bezpieczny niż standardowe nadwozie zamknięte, a przy zaniedbaniu konserwacji, w zimie nieszczelności dotkliwie dawały znać o sobie.

Ale kabriolet, dziś namiętnie poszukiwany przez amatorów „weteranów szos", uważany był zawsze za najbardziej elegancką formę nadwozia. Jego widok, czy to w stanie zakrytym, czy odkrytym, wprawia miłośników samochodu w stan podniecenia, budzi dreszcz szczególnego przeżycia, podobny temu, jakiego doznaje meloman słuchając ulubionych utworów, a koneser malarstwa przed urzekającymi go obrazami. Jest coś trudnego do wytłumaczenia w tym, że auto z brezentową napiętą budą albo z ciężkim „kołnierzem" opakowanego w pokrowiec złożonego dachu, jest bardziej powabne niż jednolicie ukształtowana, lśniąca od dołu do góry limuzyna.

Z perspektywy historycznej widać, że wobec nadwozia „opływowego" projektanci i producenci zajęli trzy postawy. Pierwsza z nich, ewolucyjna, przejawia się w dążeniu do integracji z kadłubem takich składników karoserii, jak błotniki, bagażnik, reflektory, atrapa, zderzaki, do stapiania ich w coraz mniej rozczłonkowaną bryłę

Najbardziej znanym reprezentantem tego kierunku jest Volkswagen, konstrukcji Ferdynanda Porsche'a, zwany u nas „garbusem", którego ostateczna wersja zaprezentowana została w 1938 r. W tym przykładzie — podobnie jak w Tatrze 77 z 1933 r. — przeniesienie silnika na tył samochodu pozwoliło na zaokrąglone ukształtowanie przedniego segmentu, który stał się bagażnikiem, na zintegrowanie z nim błotników i reflektorów. Podobne rozwiązanie frontu karoserii stosowano też w niektórych autach przedniosilnikowych, jak Chrysler Airflow (1934), Peugeot generacji 02, „autostradowy" Adler 2,5. Do kierunku ewolucyjnego należy też — datująca się od 1938 r. — amerykańska tendencja do zamiany tradycyjnej atrapy na dekorowany wlot powietrza, umieszczony poziomo, poniżej gładkiego przodu maski, oraz do skrywania bagażnika pod łagodnie opadającą tylną ścianą kabiny. Nadwozia nurtu ewolucyjnego były odbierane jako awangardowe, przyszłościowe.

Drugą postawę cechuje umiarkowanie, modyfikowanie kształtów i przyswajanie nowinek na tyle, ile potrzeba, by nie stać się niemodnym i nie stracić klienteli. Trzecią postawę można by nazwać „manieryczną". Reprezentowali ją przede wszystkim wielcy styliści karoseryjni, a w produkcji seryjnej szereg firm amerykańskich. Było to epatowanie formami ekscentrycznymi, agresywnymi, wielkimi błotnikami, fantazyjnie ukształtowanym pancerzem chłodnicy, a także — zwłaszcza u mistrzów francuskich i włoskich — szukanie linii finezyjnej o niedoścignionym wdzięku.

Wszystkie te trzy postawy ożyły po wojennej przerwie w budowaniu cywilnych samochodów osobowych. Postawa główna — ewolucyjna — wiodła ku formie nadwozia „pontonowego", nazywanego również początkowo „syntetycznym". Nie ma w nim wyodrębnionych błotników, a koła umieszczone są we wnękach, podobnie jak w samobieżnych pontonach wojskowych. Takie rozwiązanie sporadycznie pojawiało się już od początku lat dwudziestych. W formie eksperymentalnej proponował je Paul Jaray w 1923 r. Wśród modeli rynkowych wystąpiło ono w Hanomagu z lat 1924—28, zwanym żartobliwie „Kommisbrot" (komiśniak) oraz w Tatrze 77 i 87 z lat 1933—49.

W latach 1946—47 karoseria „pontonowa" pojawiła się jednocześnie w USA (Kaiser-Fraser, Studebaker), Anglii (HRG, Standard), Szwecji (Saab), we Włoszech (Pinin Farina) oraz w ZSRR (GAZ M-20, Pobieda). Na każdym kolejnym salonie samochodowym demonstrowano coraz liczniejsze wozy z tym nowym typem nadwozia. Ale jednocześnie prezentowano świeżo skonstruowane modele z karoseriami konwencjonalnymi. Zdawało się, że nadszedł czas współżycia tych dwóch kierunków kształtowania wyglądu zewnętrznego samochodu, „opływowego" i „pontonowego". Okazało się jednak, że już w latach pięćdziesiątych „syntetyczna" forma nadwozia, o zwartym prostokątnym obrysie, stała się wyłączną, jeśli nie liczyć kilku producentów świadomie tradycjonalnych.

Całościowe spojrzenie na przebieg ewolucji nadwozia samochodowego od jego początków prowadzi do wniosku, że proces ten dzieli się na dwa zasadnicze etapy, etap karoserii „addycyjnej", formowanej z dodawanych składników, oraz etap karoserii „syntetycznej", który dziś panuje. Konwencja „syntetyczna", „pontonowa" funkcjonuje już 35 lat i nic nie wskazuje na to, by miała zostać zastąpiona inną. Tylko bowiem forma „syntetyczna" pozwala na poszukiwanie kształtu o najbardziej korzystnym współczynniku oporów aerodynamicznych.

Stopienie błotników z kadłubem w jeden blok i rezygnacja z atrapy na rzecz poziomego wlotu powietrza ograniczyły możliwości indywidualizowania karoserii. Pomimo to utrzymane zostały pewne odrębności narodowe. Najsilniej dochodzą one do głosu w samochodach amerykańskich, zachowują własne cechy wozy angielskie, czeskie, francuskie, radzieckie, włoskie. Ale jednocześnie od lat sześćdziesiątych postępuje u wielu producentów proces unifikacji nadwozi. Modele o różnych charakterystykach technicznych otrzymują identyczne karoserie. W ramach wielkich koncernów międzynarodowych, pod odmiennymi nazwami są wykonywane i sprzedawane takie same pod każdym względem auta. Modele angielskiego Vauxhalla nie różnią się niczym — poza znaczkiem firmowym — od niemieckich Opli; oba zakłady wchodzą w skład General Motors Corp. W USA zapotrzebowanie na samochody mniejsze niż „krążowniki" oszczędne, prowadzi do „europeizacji" karoserii. Japończycy szturmujący rynki zagraniczne, już od dłuższego czasu „europeizują" lub „amerykanizują" nadwozia swych eksportowych modeli.

W latach sześćdziesiątych nastąpił zanik kabrioletu i dwumiejscowej wersji modelu standardowego. Nie jest to skutkiem nowej formuły estetycznej. Obydwa te gatunki nadwozi w ujęciu „pontonowym" prezentowały się równie pięknie, jak w stylistyce lat trzydziestych. Zaważyły w tym wypadku jednocześnie i wzrost prędkości eksploatacyjnych i rygory bezpieczeństwa nakładane na producentów. W niektórych krajach nowe samochody otwarte są dopuszczane do ruchu tylko z pałąkiem chroniącym jadących w przypadku przewrócenia się pojazdu. A rekwizyt taki jest zabójczy dla urody kabrioletu. Względy praktyczne wyrugowały z rynku dwumiejscowe auto, które uznane zostało za marnotrawienie mocy. Zapotrzebowanie nielicznych amatorów na nowe samochody powyższych typów zaspakaja kilku producentów, jak Mercedes-Benz czy Peugeot.

Upowszechniło się natomiast w epoce „syntetycznej" kombi jako wersja nadwoziowa. Ponadto powstały trzy nowe formuły samochodu osobowego. Pierwsza — to cywilny samochód terenowy, zapoczątkowany w 1948 r. Lland-Roverem, druga — to buggy, mały, odkryty wózek bez drzwi, przydatny tylko do różnych uciech rekreacyjnych, trzecia — to sportowe coupé, będące już nie wersją modelu standardowego, lecz pojazdem konstruowanym w celu osiągania w komfortowych warunkach prędkości rzędu 200 — 300 km/godz.

W ramach okresu nadwozia „pontonowego" datą zwrotną jest rok 1959, kiedy to pojawił się Austin Mini. W świetle ówczesnych kryteriów estetycznych samochód nie był ładny. Maskę miał nieproporcjonalnie małą i krótką w stosunku do dużej kabiny, nie zakończonej bagażnikiem lecz tłoczoną ścianą. Było to przywołanie nadwozia dwusegmentowego, zaniechanego z początkiem lat trzydziestych, ale nie wymagającego już na podróż doczepnego kufra, gdyż za tylną kanapą wydzielone zostało miejsce na bagaż.

Forma nadwozia Mini i jego proporcje wynikały z chęci poszukiwania nie nowego stylu karoserii, lecz nowej formuły samochodu o małych rozmiarach, zapewniającego komfort i osiągi eksploatacyjne wozu średniej klasy. Alec Issigonis, konstruując Mini jako samochód z napędem na przednie koła, zerwał z klasycznym, wzdłużnym układem silnika, umieszczając go poprzecznie nad przednią osią, zyskując tym samym możliwość skrócenia maski. Było to wyzwolenie z uświęconych konwenansów usytuowania motoru i przeniesienia napędu.

W latach sześćdziesiątych silnik z tyłu oraz napęd na przednie koła przestaje być czymś wyjątkowym, przywiązanym do określonych producentów. W wypadkach uzasadnionych względami technicznymi nie ma oporów przed poprzecznym umieszczeniem silnika czy też w pozycji odchylonej od pionu. Możliwe jest też takie umieszczenie motoru z tyłu, że nie wymaga on wyodrębnionego segmentu, czytelnego w bryle pojazdu. Stojąc przed takim modelem, czasem trudno zorientować się, z której strony jest silnik. Prawidła estetyczne kształtowania karoserii nie wymagają już uzewnętrznienia miejsca silnika.

Dla nadwozia następują czasy bez reguł i zasad. Może być ono dwu- lub trójsegmentowe. Relacje między wysokością przodu maski i dolną linią okien, między frontem i tyłem auta, nie muszą być wyważone, harmonijne, mogą być nawet antyestetyczne w świetle dotychczasowych kryteriów.

Na ostatnich salonach samochodowych zostały już zaprezentowane propozycje nadwoziowe „roku 2000". Nie szokują one tak współczesnych, jak futurologiczne wizje Jaraya, Rumplera i Fullera z lat międzywojennych. Zmniejszanie oporów aerodynamicznych stało się czynnikiem utrzymania przez samochód jego pozycji wśród środków komunikacji. I dlatego obłe kształty karoserii „roku 2000" — prezentowane teraz nie przez samotnych eksperymentatorów, lecz przez najpoważniejszych producentów — przyjmowane są jako realna i nieunikniona forma samochodu w początkach drugiego stulecia jego istnienia.

(Pochodzenie ilustracji: „L'Auto-Journal", „Motor-Jahr", „The Encyclopedia of the American Automobile", „The Motor".)

Zdjęcia reprodukował Waldemar Stępień.

„Posuń się kotku, przyszedł twój prezydent!"

Magia seksu i władzy wśród najwyższych przedstawicieli administracji amerykańskiej, to temat artykułu, waszyngtońskiej korespondentki „Der Spiegel" Valeski von Rogues, który ukazał się w numerze 43/82 tego pisma.

WNIESPEŁNA pół godziny po wzajemnym poznaniu się Hal Lyons, wysoki urzędnik ministerialny z Waszyngtonu, zaproponował Davidowi Greenowi, przez którego został zaproszony na weekend, wyrafinowane usługi miłosne swojej pięknej towarzyszki, również urzędniczki Departamentu Stanu. Miało to kosztować 200 dolarów. Green wyraził zgodę — dwa studolarowe banknoty zmieniły właściciela. W tym momencie otworzyły się drzwi szafy w ścianie i wyłonił się z niej Thomas Wise, będący podobnie jak Green funkcjonariuszem policji obyczajowej, który całą transakcję zarejestrował na taśmie magnetofonowej. Hal Lyons wpadł w zastawioną pułapkę. Na początku br. stanął przed sądem w Waszyngtonie, oskarżony o stręczycielstwo i przekroczenie licznych paragrafów dotyczących nierządu.

Skandale obyczajowe stały się w Waszyngtonie czymś tak normalnym jak kwitnienie wiśni na wiosnę, czy napływ turystów w miesiącach letnich. Nie budzą już nawet wyjątkowego zainteresowania. Jednakże, kiedy kilka tygodni temu w łazience pewnego działacza partii demokratycznej znaleziono zwłoki młodego samobójcy, który został zidentyfikowany jako znany policji młodzieniec, trudniący się nierządem, musiałoby to rzucić pewien cień na karierę owego kongresmana — Fredericka Richmonda, gdyby nie to, że ten ostatni i tak musiał dwa miesiące wcześniej wycofać się z życia politycznego w związku z aferą narkotykową i licznymi oszustwami podatkowymi.

Również ujawnione niedawno fakty zmuszania przez niektórych kongresmanów do nierządu młodocianych gońców obojga płci przekraczają granice tolerancji nawet pozbawionego większych hamulców moralnych świata politycznego w Waszyngtonie.

Skandal obyczajowy złamał w roku 1974 karierę wpływowego niegdyś przewodniczącego Komisji Finansów Izby Reprezentantów, Wilbura Millsa. Został on w nocy przyłapany przez policję w chwili, gdy — kompletnie zalany — przyglądał się swojej przyjaciółce — striptizerce Fanne Fox, kąpiącej się w stroju Ewy w sadzawce przed pomnikiem Jeffersona w centrum stolicy. Mills musiał ustąpić ze stanowiska.

Innym przykładem jest Wayne Hays. Jako przewodniczący Komisji Budżetowej nadzorował koszty utrzymania Kongresu i uważany był za wyjątkowego dusigrosza. Sytuacja była więc nieco niezręczna, gdy wyszło na jaw, że szacowny Mr. Hays utrzymuje z funduszów publicznych swoją kochankę Elizabeth Ray, którą zatrudnił w swoim biurze na etacie sekretarki, chociaż nie umiała nawet pisać na maszynie. I ten polityk stracił swe stanowisko, zaś panna Ray napisała bestseller.

W roku 1981 sensacją Waszyngtonu była szałowa blondyna o imponującym biuście, Paula Parkinson, która wszystkie swoje erotyczne przygody z deputowanymi obu partii rejestrowała podobno na wideomagnetofonie, aby później sprzedać te dokumenty magazynowi „PLAYBOY".

Mniej więcej w tym samym czasie na łamach „PLAYBOY'a" ukazały się — ilustrowane śmiałymi zdjęciami autorki — pamiętniki małżonki jednego z kongresmanów, Rity Jenrette. Zaszokowana opinia publiczna dowiedziała się z nich, że reprezentanci narodu bez żenady oddają się uciechom seksualnym, nawet w miejscu najświętszym dla amerykańskiej demokracji — na stopniach Kapitolu, tam, gdzie grupy skautów i wycieczki parafialne pozują zwykle do pamiątkowego zdjęcia ze swym senatorem.

Rita Jenrette pisze m.in.: „John rozpiął mi futro, moje palce manipulowały przy zamku błyskawicznym jego spodni. Powoli podciągnął moją błękitną jedwabną suknię... i tak kochaliśmy się w cieniu potężnej kolumny przed gmachem Kapitolu".

John był wprawdzie mężem Rity. Niemniej ta młoda kobieta z Teksasu traktowała czyn, na który się ważyli, jako „wspaniałą, skandaliczną tajemnicę", która była „jednym z rzadkich intymnych momentów" ich małżeństwa, kiedy „nikt nie przeszkadzał, nie dzwoniły telefony...", natomiast inne liczne erotyczne przygody męża oburzały ją, tym bardziej, jeśli nie brała w nich udziału.

Rita Jenrette przyłapała mianowicie swego małżonka na strychu wspólnego domu w ramionach pewnej apetycznej kobietki, o której on sam później twierdził, że była to Shirley MacLaine. John Jenrette poddał się następnie kuracji antyalkoholowej w ekskluzywnym sanatorium, gdzie — jak twierdzi pani Rita — wytrzymał dłużej tylko dlatego, że pewna siostra miłosierdzia postarała się uprzyjemnić mu pobyt.

John Jenrette nie jest bynajmniej jedynym złym duchem w zepsutym świecie Waszyngtonu który niespodziewanie staje przed oczami młodej, po purytańsku wychowanej kobiety z Teksasu:

Gubernator jednego ze stanów USA, w którego domu małżeństwo Jenrette spędza weekend, wchodzi bez pukania do łazienki, gdzie Rita właśnie bierze prysznic. Szacowni na pierwszy rzut oka senatorzy poklepują ją i podszczypują, szepcząc do ucha niedwuznaczne propozycje. Jeden z uczestników zabawy wrzuca narkotyk do jej szklanki z drinkiem, aby skłonić Ritę do udziału w zbiorowej orgii — podczas gdy jej mąż John, zamroczony alkoholem, przygląda się wszystkiemu z tępą miną alkoholika.

Podobne ekscesy należą już do tradycji w Waszyngtonie i są nieodłącznym elementem kultury politycznej. Wydana niedawno książka wybitnego politologa Garry Willsa ukazuje, że np. wśród klanu Kennedych „współzawodnictwo w dziedzinie sprawności seksualnej" (competetive discipline of lust) wchodziło w zakres wychowania synów w takim samym stopniu, jak sporty siłowe, czy dyskusje polityczne przy wspólnym stole.

Joseph Kennedy — senior, który jako ambasador USA w Londynie zapoczątkował dynastię polityczną, przedstawiony został przez Willsa jako notoryczny kobieciarz, który nie przepuszczał żadnej z przyjaciółek swoich synów. Każda dziewczyna zaproszona na weekend do rezydencji Kennedych musiała liczyć się z nocną wizytą ojca rodziny, jak gdyby w ten sposób pragnął on zamanifestować, że w państwie Kennedych jest wciąż jeszcze najważniejszy i najlepszy pod każdym względem.

Chętnie chełpił się swymi przygodami z młodymi aktorkami, a kiedy udało mu się zdobyć rzeczywiście wielką gwiazdę filmową, Glorię Swanson, zapraszał ją na wspólne urlopy, nie krępując się obecnością swej bogobojnej małżonki, Rose.

Dokończenie na str. 12

BLIŻEJ ODDALENIA

Zbigniew Puchalski

LUBIŁEM być z tobą późną nocą. Siadaliśmy w dziwnych pozach na skleconych z drewna kojach i milczeliśmy. Czasem porywał nas śmiech bez przyczyny. Patrzyliśmy na siebie, na nasze oczy, uszy, nosy, podkurczone nogi i śmialiśmy się. Widziałem ciebie w nienaturalnych kształtach, nos dotykał ci brody, a twarz tworząc owal sprawiała wrażenie nieludzkiego cynizmu, który zdawał się być wyłączony z wszelkich reguł. Nawet moja śmierć w tej chwili nie byłaby w stanie zmienić wyrazu twej twarzy.

Byłaś dziwnym człowiekiem. Uśmiech na twojej twarzy był objawem, że istniejesz w jakiejś innej formie, że istniejesz poza sobą, a uśmiech jest tylko sygnałem jedynej łączności ze światem zdarzeń, ze mną. Śmiałaś się zawsze w nocy, na początku głośno, potem cicho, aż wreszcie tylko ułożenie ust sugerowało ironię. Pamiętasz, raz kopnęłaś psa w brzuch. Zwierzę wczołgało się do bramy i narżnęło pod siebie. U rąk miałaś zgrabne paluszki. Pierścionki leżały na nich jak ulał. A buciki z błyszczącą klamerką, które nosiłaś, też pamiętasz? Potem klamerkę pokryła rdza, a pijany Pan Bóg kopnął ją w róg ulicy. Często mówiłaś, że ten pocztowy gołąb sąsiada ciągle czyha na twoją wątrobę.

Odczuwałem dziwny niepokój, kiedy noc była jasna i światło księżyca znajdowało miejsce między szparami zbutwiałych od wilgoci desek i lekko oświetlało twoją twarz. Nie była to twarz dziecka, która wskutek marzeń sennych o ołowianych żołnierzykach przybierała postać błogiego zadowolenia.

Twarze dzieci, które często spotykałem śpiące na rękach matek, miały uśmiech łagodny. Usta zwykle lekko rozchylały się i nie tworzyły ironicznego monstrum, które beszta człowieka.

Zadawałem sobie wówczas absurdalne pytania, które niczego nie wyjaśniały. Sama jednak forma pytania siebie zmuszała mnie do przyjęcia określonej postawy, do rozstrzygania problemów, których nie pojmowałem, które trochę oszałamiając, wprawiały mnie w zdziwienie.

— Embrion pewnie się nie śmieje? — pytałem siebie. — Śmiech stworzyła kultura, czy biologia? Gdy ktoś łaskocze nas po piętach — to pewnie śmiejemy się biologicznie. Zmysły są rozdrażnione, „kultura" każe śmiać się, bo tym sposobem wyrażamy pochwałę dla umiejętności człowieka, który końcem języka dotyka skóry.

Prowadziłem z samym sobą dialog żarliwy, zachłystywałem się słowami, wpadałem w gniew, by w końcu zwinąć się w kłębek i wypatrywać niecierpliwie świtu.

Tego dnia, gdy czekałem na ciebie, zdawało mi się, że twoja twarz zbliża się do mnie od strony zaniedbanego ogrodu, który przylegał do szosy. Twarz nienaturalnie rosła, wypełniała całą przestrzeń, docierała do moich oczu i wtedy parskała śmiechem. A przecież nie zawsze śmiałaś się. Pamiętasz, wtedy na przyjęciu u Leszka wyciągnęłaś z półki wiersze Rilkego i płakałaś, a ja potem boso z opuchniętą od wysiłku twarzą niosłem ciebie na rękach, a ty krzyczałaś, żebym szedł bliżej nieba.

Szukałaś mnie ciągle. Kilka razy mówiła mi sąsiadka, że długo pukałaś do moich drzwi, które przy silniejszym pchnięciu zawsze ustępowały, zapraszając do małego pokoiku z dużą białą miednicą na środku. Kiedy wiedziałem, że się zjawisz, zawieszałem w oknie czyste zasłony z kolorowego płótna. Patrzyłem na nie z radością i wiarą w swoje umiłowanie porządku. Potem ściągałem je i śliniąc palec rysowałem na brudnej szybie duże, nieforemne koła.

Przychodziłaś do mnie często. Kwiaty zostawiałaś pod drzwiami. Zawsze przynosiłaś te, które lubiłem najbardziej — niebieskie pawie oczka. Zrywałaś je przy wyschniętym stawie na skraju lasu.

Nigdy tych kwiatów nie zabierałem. Usychały bez wody, leżąc pod drzwiami. Ja tych kwiatów trochę się bałem, one mi podpowiadały, żebym zdjął z siebie te stare spodnie, wyrzucił do kosza resztki jedzenia, ustawił równo drewnianą lampę, rano wyszedł na ulicę, wmieszał się w tłum, a potem odnalazł ciebie wśród zmęczonych ludzi i czekał na słońce.

Najgorzej, że wózek, na którym wożę stosy rupieci, psuje się powoli. Miałem nawet napisać ci list w tej sprawie. Odpadają ciągle dwa przednie kółka, przewracam się wówczas na wózek, rozwalam śmiecie i leżę tak spokojnie kilka chwil.

Wczoraj na śmietniku przy parku znalazłem małego drewnianego konia i poplamione kolorowe rysunki. Najbardziej podobał mi się rysunek przedstawiający bawiące się dzieci, a przede wszystkim dziewczynkę z dużą białą kokardą na głowie i małym szerokim nosem. Siadłem sobie przy schodach prowadzących w górę do publicznej pralni i długo oglądałem te rysunki, aż zauważyłem, że kartki wypadają mi z rąk, a moje wilgotne ubranie pokrył szron.

Napisałem kiedyś wiersz. W zasadzie nie myślałem o tobie, martwiłem się, że ciągle psuje mi się wózek. Napisałem ten wiersz na tłustej kartce, grubym ołówkiem. Przeczytałem go kilka razy, wsunąłem głęboko pod szarą bluzę i przyklepnąłem mocno dłonią.

Dzisiaj wieczorem widziałem cię, jak szłaś na górę do mojego pokoju z kwiatami. Wyglądałaś tak ładnie. Buty na nogach miałaś wysokie — pewnie było ci ciepło. Postanowiłem, że tym razem włożę do wody kwiaty. W swoich rupieciach, których stos leżał

Rys. Andrzej Bronikowski

na wózku, wygrzebałem butelkę z odbitą szyjką — na pewno pasowałaby do cieniutkich łodyg różnobarwnych kielichów. Miała kolor jasnej zieleni. Wlałbym zaraz dużo wody i butelkę z kwiatami ustawił na środku pokoju, a miednicę umieściłbym pod pryczą.

Gdy wróciłem do domu, nie było jednak kwiatów. Rano, gdy biegłem po mleko, zobaczyłem po drugiej stronie ulicy dziewczynkę z kwiatami w ręce. Były to niebieskie pawie oczka.

Wieczorem zakradłem się cicho pod tylne wejście do teatru. Grali Hamleta. Na sali musiało być dużo ludzi, czułem, że ściany są ciepłe. Hamleta grał Roman — pamiętasz, ten chudy szatyn z łysieniem plackowatym na głowie. Wiedziałem, że to on zawsze dawał ci karnety na najlepsze sztuki. Raz chciałem pójść z tobą do teatru, kupiłem nawet bilet. Siedziałbym pewnie gdzieś blisko. Nie miałem ciemnego krawata, chciałem pożyczyć go od ojca. Zabrakło mi jednak szczęścia, ojciec wrócił późno do domu, a krawat miał głęboko schowany w kieszeni.

Stałem przed gmachem drżąc z zimna. Po skończonym spektaklu, gdy wszyscy ludzie opuścili teatr, a ulice wymarły — stanąłem przy starym, rozłożystym drzewie. Romek po chwili wyszedł. Był starannie ubrany. Pomachałem mu ręką, nie zareagował. Przyrzekłem sobie chodzić na wszystkie sztuki, może w którejś i ty zagrasz. Już wiem, jaką powinnaś mieć rolę. Powinnaś zagrać rolę śmierci, która spotyka jedynego człowieka żyjącego na świecie i daje mu bukiet niebieskich pawich oczek, a potem wchodzi cicho do pudełka zapałek.

Wiesz, dzisiaj rano zabrano mi wózek i dwaj mężczyźni wciągnęli moją chudą postać do białego samochodu — miałem napisać ci o tym. Odwieziono mnie do dziwnego szpitala. Gmach był strasznie długi z mnóstwem korytarzy, okien i ludzi. Jedni ciągle stali, inni chodzili i podawali sobie dłonie.

Z człowiekiem, który leżał przy mnie w pierwszą noc pobytu w szpitalu, tasowaliśmy karty, potem się pokłóciliśmy; on chciał układać same asy, a ja same tylko czarne karty. Przecież lubiłem czarny kolor — uspokajał mnie psychicznie. Jak wybierałem się na spotkania, to ubierałem swój ulubiony czarny, długi płaszcz. Przerobiłem go ze starej jesionki mamy. Wyglądał całkiem nieźle, trochę opadały mi w nim ramiona, byłem za chudy.

Pacjent z sali nr 2 wczoraj po południu stanął w końcu korytarza i trwał tam długo aż do późna w nocy. Bałem się o niego. W swoim białym biurku, w szufladzie znalazłem jabłko, które dostałem od ciebie. Wytarłem je starannie o piżamę i ostrożnie podsunąłem człowiekowi, który tkwił jak posąg. Ty wiesz, że on uśmiechnął się do mnie! Wziął to jabłko i powiedział, że odda go Bogu?!

Całą noc myślałem o tym, żeby mi ktoś przyniósł mój ulubiony mosiężny, duży guzik. Chowałem go zawsze pod gazetami w rogu pokoju. Od czasu do czasu czyściłem go dokładnie o sukno. Na pewno teraz by mi się przydał. Zastanawiam się, czy nie napisać do ciebie listu w tej sprawie.

Dostałem dużą dawkę jakichś leków. Nie mogłem się długo uspokoić. W końcu zasnąłem.

Obudziłem się szybko, cały byłem zlany potem. Sąsiad leżący pod oknem oczy miał szeroko otwarte. Może spał w taki sposób? Wyszedłem cicho z sali. Na korytarzu było ciemno. Spod drzwi sali nr 4 widać było na podłodze odbijającą się małą strugę światła. Lekko otworzyłem drzwi i zajrzałem. Przy pierwszym łóżku pod drzwiami młody mężczyzna; podwinąwszy w górę rękawy szlafroka, rysował długopisem księżyce. Na lewej dłoni namalował ich pięć, na prawej trzy. Przy malowaniu cicho jęczał; twarz nie wyrażała jednak bólu. Zostawiłem go w spokoju. Teraz jeszcze bardziej żałowałem, że nie miałem przy sobie swojego mosiężnego guzika.

Wiesz, mam już przyjaciół. Jednym z nich jest starszy człowiek, z długim nosem i jasnymi jak niebo oczami. Pracuje w zawodzie chemika. Ten człowiek ciągle zajmuje łazienkę i po kilkadziesiąt razy myje sobie ręce. Zaczęły mu krwawić. Postanowiłem wyłączyć wodę w kranie. Dałem mu w prezencie kilka białych chusteczek. Wieczorem zauważyłem, że on owinął sobie nimi ręce i trzymając je nad głową chodził niespokojnie wzdłuż korytarza.

Ostatnio cierpię na bezsenność. Zamykam jednak oczy. Nie mogę patrzeć na łóżka stojące obok. Leżące nieruchomo ciała budzą niepokój, zwiastują śmierć. Sen jednym ludziom rozjaśnia twarze, innym fałduje skórę na czole, w okolicach oczu.

Nie wychodzę na korytarz. Ciągle wydaje mi się, że jak stoję na środku sali sam, późno w nocy, to za chwilę cisza rozszarpie mnie na kawałki, a od ścian oderwą się ciemne postacie z oczami gorejących płomieni i wsadzą mi na głowę koronę z wysuszonych liści dębu, okrzykną królem, a potem nadzieją mnie na lance.

Serce bije mi niespokojnie. Raz mocniej wali, aż boję się, że wyskoczy z piersi i potoczy się po podłodze w ciemny kąt korytarza. Innym razem bije jakoś dziwnie spokojnie, jakby powoli zamierało.

Ty też miałaś serce. Wydawało mi się, że jest strasznie ogromne. Jak dotykałem twojej twarzy, czułem aksamitną miękkość jego kształtu. Mówiłem ci ciągle, że jak człowiek kogoś kocha, to wówczas jego serce przybiera formę smacznego, lukrowanego piernika. Śmiałaś się wówczas głośno, a potem mnie całowałaś i winiłaś za to swoje serce.

Dzisiaj po krótkim spacerze zauważyłem, że moje serce bije raz z prawej strony, raz z lewej. Przez długi okres starałem się zlokalizować jego położenie. Słuchałem, a potem macałem mocno pod żebrami. Dopiero później pomyślałem sobie, że przecież biją w mojej piersi dwa serca — moje i twoje. Dobrze, że to odkryłem, stałem się bardziej pogodny. Każdego człowieka pozdrawiałem skinieniem głowy.

Minął już tydzień mojego pobytu w szpitalu. Martwię się bardzo o kwiaty, które składasz pod drzwiami. Czy nie zapominasz i zawsze przynosisz niebieskie pawie oczka trochę mokre od rosy?

Dzisiaj odkryłem, że w hallu zainstalowano duże lustro. Zawsze myślałem o tym, żeby kupić ci takie same. Przecież marzyłaś, żeby u siebie w przedpokoju ustawić lustro oprawione starannie w jasny kolor drzewa. Mówiłaś, że zapraszałabyś mnie do siebie i razem nasze dłonie przesuwalibyśmy do źródła lustra. Twierdziłaś, że patrząc na odbite dłonie w szklanej tafli, doznajesz dziwnego podniecenia i masz wrażenie, jakby te ręce się mnożyły w nieskończoność, dotykały każdego kawałka twojej skóry, a potem gnieździły

się z łoskotem w twoich włosach. Ręce zawsze dla ciebie były ptakami bez oczu i skrzydeł.

Zauważyłem, że kilku chorych zdradza zainteresowanie nowym lustrem. Postanowiłem, że dziś w nocy zapalę w korytarzu latarnie, drzewa bardziej nachylę do okien i spotkam cię w lustrze.

Obudziłem się wcześnie rano z rozbitym czołem i nosem ukształtowanym nieforemnie. I żeby tak iść na oślep, po omacku, mając dwoje oczu?

Dobrze, że dzisiaj prawie cały dzień padał deszcz. Ciężko dudniły kropie o parapet. Inaczej spadają kropie deszczu jesienne, inaczej wraz z nadejściem wiosny. W uszach ciągle dźwięczał mi odgłos październikowego deszczu. Tak, to było wtedy. Nogi miałem zabłocone po kolana, kropie wody równo wypełniały moje kieszenie płaszcza. Był rok 1960. Całą noc przesiedziałem przy naszej małej, skulonej w pomieszczeniu z desek, i paliłem świece. Ogniki migotały odważnie, odbijały się na twarzy dziecka i wracały do płomienia. Czy myślisz, że nasza mała usłyszała, jak do niej powiedziałem, że przecież to my poczęliśmy ją z ręki? Na pewno nie! Mówiłem głośno, a ona ciągle leżała nieruchomo z lekko zapadniętymi policzkami, odwrócona twarzą do świecącego za oknem księżyca. Później zanieśliśmy jej ciało do grobu i staliśmy razem długo, aż deszcz utworzył na świeżej mogile przejrzystą kałużę. Płakałaś bardzo, deszcz padał, a ja prosiłem dla niej o kolorowe sny, takie, jakie mają dzieci przytulone do swoich zabawek.

Miałaś wtedy takie zimne dłonie jak nasza córka. Ona zawsze miała nienaturalnie zimne dłonie. Jak ją urodziłaś, bałem się ją przytulić. Chwyciłem ją za ręce, były zimne, jakby obce, w ostatniej chwili podarowane ciału. Dzieci w przedszkolu nigdy nie brały jej do kółka. Czy wiedziałaś o tym, że ona wówczas skulona w kącie sali rozcierała je sobie mocno i potem kolejno dotykała rąk innych dzieci mówiąc, że są ciepłe? Każdego roku igłaste gałązki świerku wiązałem świeżymi chabrami i kładłem ten wieniec na grobie. Chodziłem do niej zawsze, nawet wtedy, gdy wyprowadziły się od nas wszystkie gołębie.

Dni w szpitalu wloką się jakoś nieznośnie. Mój znajomy, któremu podarowałem jabłko, powiedział, że jak nas wypiszą, to on podaruje mi swoją ulubioną kurtkę z dużą ilością kieszeni i metalowych zatrzasków. Ucieszyłem się bardzo, będę mógł wreszcie nosić ze sobą wszystkie moje ulubione różnobarwne szkiełka i ten mosiężny guzik.

Ostatnio mam dziwne sny. Najpierw śniło mi się, że łowię czarne nietoperze w ogromną czapkę i oślepiam srebrzysto-białe zające wskazującym palcem. Nie wiem, co znaczą moje sny. Przez ostatnie kilka dni znowu je miałem. Śniło mi się, że leżę w ogromnej sali, a wściekłe psy liżą moje nogi. Próbowałem je cofnąć, podkurczyć głęboko pod brzuch, ale bezskutecznie, a potem bez nóg tańczyłem na lustrzanej podłodze z wysoką damą bez twarzy.

Sąsiad leżący obok mnie mówił, że jemu zawsze śni się rozłożyste drzewo z mocnymi konarami i szerokim pniem. Mówił, że siada przy nim, odgrzebuje z liści wystraszone jeże i ręce rani o kolce.

Dzisiaj po raz pierwszy wyszedłem na krótki spacer. Było ciepło. Oglądałem uważnie stare drzewa, przytulałem do nich swoje gorące ręce. Czułem, że chyba już nigdy nie wrócę do swojego pokoju, nie wyciągnę wózka ze starej piwnicy. Postanowiłem, że po powrocie ze spaceru wypożyczę ze szpitalnej biblioteki wiersze Rilkego.

Lęk gwałtowny, jak wulkan wtargnął do mojej duszy i zaległ, jak ostre pnącza; lęk przed sobą, przed światłem i mocnym oddechem ludzi skulonych w bieli. Najbardziej boję się jednak wyobraźni. Każdy człowiek myśli inaczej. Wyobraźnia zabobonna wywołuje strach, który paraliżuje ruchy i prowokuje sumienie do rzucania przekleństw na człowieka, który tkwi w pokorze wobec fatalizmu i ślepego losu odwracającego kolejność rzeczy. Myślę, że gdy ludzie podają sobie dłonie i później odchodzą odwróceni do siebie plecami, to pewnie dziękują Bogu, że widzą przed sobą otwartą przestrzeń i słyszą kroki swoich rozłączonych ciał.

Fragment powieści pod tym samym tytułem przygotowanej do druku w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

Rys. Zygmunt Pytlik

Wojciech Próchniewicz

MAŁY PSALM LATARNI ULICZNEJ

mnie odepchnięto
mnie — starą latarnię
za mokre me słowa
i deszczem za śliskie

świat można zacząć od jednej powieki
i tylko wtedy gdy dłonie są czyste
mam język metalu nabrzmiały woltami
jak generator klątwa cicho dźwięczy
i jeśli teraz na me twarde klęczki
ktoś splunąć może

mnie również możność wyboru
daj Boże

EPILOG

Posypały się iskierki stronic
sypnęły w dół czarnym deszczem
pozostałem sam na sam
z bielą kart i z ich szelestem

błogosławiona jest biel kart
zalakowane księgi czują ciszę
na każdą patrzy
zielony od wieków
mikroskop kłamstwa

dziki bazyliszek

SPOKÓJ

Kwietniowe cienie spadły na powieki,
zegar w pokoju tka koronkę czasu,
ręka wędruje po obrzeżach ręki,
mija biel ciepła, miękkiego atłasu

Dzban ma dwa cienie, od lampy i słońca
zasłona pełna wiosennego wiatru,
ręka zsunęła się, dotknęła koca
czerwienią barwi dłoń tę, czysty zachód.

Okno, za oknem sad, za sadem pola,
idą rolnicy, koń człapie w oddalach,
...otwieram oczy — zniknęłaś jak zachód,
pozostał spokój, co spać nie pozwala.

Pierwsze spotkanie z „Kameną"

Mirosław Derecki

W KRĄG lubelskiego życia kulturalnego wkroczyłem na przełomie października i listopada 1954 r., a stało się to za sprawą wiersza „Pokój" Jarosława Iwaszkiewicza, który polecono mi wyrecytować na wojewódzkiej akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. Razem ze mną przygotowywało się do występu kilkoro innych studentów, członków Zespołu Dramatycznego UMCS, prowadzonego przez młodą aktorkę Teatru im. Osterwy, czarnowłosą i ciemnooką Jadwigę Grossman. Próby odbywały się w siedzibie Zakładu Filozofii UMCS, mieszczącego się wówczas przy ulicy Skłodowskiej 2, na pierwszym piętrze, nad dzisiejszą siedzibą redakcji „Kameny". Reżyserii i przygotowania naszego występu podjął się, na spółkę z Wisią Grossman, kierownik zakładu — profesor Narcyz Łubnicki. Nigdy potem nie słyszałem o teatralnych zainteresowaniach profesora Łubnickiego, ale wtedy były one faktem. Niestety, reżyserska para reprezentowała zupełnie odmienne poglądy na sztukę recytacji, i to właśnie ja przede wszystkim padłem tego ofiarą.

Profesor Łubnicki był wyznawcą „starej szkoły" — sięgania do onomatopeizacji, wyraźnego znaczenia nastrojów i w ogóle walenia „z grubej rury" na sposób tych dawnych mistrzów sceny, w których ustach „przewalały się nawałnice i grzmiały gromy" lub „śpiewnie szemrały strumyki". Grossmanówna — niedawna absolwentka warszawskiej szkoły dramatycznej i asystentka Zelwerowicza — wyznawała natomiast metodę Stanisławskiego, odwołującą się do przeżywania. Teraz niech sobie, kto chce, podłoży obie te metody pod słowa wiersza Iwaszkiewicza:

Nie spłynie na nas jak gołębica
Ani nadejdzie jako pora roku
Ani zahuczy jak błyskawica —
Na ziemi Pokój...

Na przemian więc grzmiałem i kwiliłem lub też sięgałem „do głębin własnego odczucia i przeżywania", a za każdym razem po zakończeniu recytacji dwójka reżyserów popatrywała na siebie złym wzrokiem, a potem z ich ust słyszałem kolejno: „Nooo, taaak... Bardzo dobrze... Tylko TO trzeba powiedzieć zupełnie inaczej!" Próby stały się w końcu dla mnie torturą, a twórczość Iwaszkiewicza znienawidziłem na wiele lat. Ostatecznie, spocony z emocji, wykrzyczałem owe wołanie o pokój ze sceny Teatru im. Osterwy, gdzie odbywała się Akademia Październikowa, mieszając metodę Stanisławskiego z metodą tradycyjną. W sumie recytacja wypadła głośno, bojowo i z „wyczuciem sytuacji", a o to przecież najbardziej organizatorom chodziło. Natomiast swoisty zgrzyt wywołał występ Romy Piechówny, studentki historii, która recytowała jakiś bardzo liryczny i smutny fragment z „Beniowskiego" czy też z „Kwiatów polskich". Powiedziała go naprawdę pięknie, ale po akademii jeden z ówczesnych partyjnych wodzów województwa czynił ostre wyrzuty Grossmanównej, że Roma zepsuła cały nastrój i wydźwięk „części artystycznej", który miał się wyrażać zgodnym i zdecydowanym marszem „ku"...

✲

Obsługiwanie „części artystycznych" różnych ważnych imprez w Lublinie przez zespoły studenckie weszło w życie gdzieś na przełomie lat 1953/1954. Było to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Zakończył się właśnie pierwszy, „bohaterski" okres życia studenckiego: skończyła się powojenna prowizorka, zniknęli studenci pod wąsem, którzy dokańczali przedwojenne studia lub nadrabiali lata stracone podczas okupacji. Nikt już nie chodził w znoszonych sortach mundurowych i nikt nie bawił się w czasie zdawania egzaminu własnym rewolwerem, w celu wywarcia odpowiedniego wrażenia na profesorze. Odpłynęły z murów uniwersyteckich resztki byłych żołnierzy, dipisów, partyzantów i powstańców warszawskich. Teraz katedry i zakłady funkcjonowały już normalnie — tyle, że w większości w fatalnych warunkach lokalowych — a studenci przychodzący na I rok studiów mieli po lat osiemnaście.

Pracy było na uczelniach bardzo dużo, a na dodatek obowiązywała tzw. „socjalistyczna dyscyplina studiów" i trzy nieusprawiedliwione nieobecności, nawet na wykładach, mogły spowodować skreślenie z listy studentów. Ale zostawało jednak jeszcze trochę czasu na zajmowanie się sportem lub pracą artystyczną, na którą bardzo mocno zaczęło stawiać Zrzeszenie Studentów Polskich. Dzisiejsze Miasteczko Uniwersyteckie składało się wówczas tylko z Bloków: „A", „B" i „C", tonących w czasie niepogody w bajorach gliniastego błota, a reszta domów akademickich rozrzucona była po całym mieście po dawnych hotelach lub starych czynszowych kamienicach. Jednak może właśnie dlatego młodzież skupiała się tym chętniej w zespołach artystycznych lub w sekcjach sportowych. Kiedy w 1954 r. rozpoczynałem w Lublinie „normalne" studia (w roku akademickim 1953/54 byłem wolnym słuchaczem na Akademii Medycznej), wszystkie istniejące studenckie zespoły artystyczne liczyły dopiero po roku lub najwyżej po dwa lata istnienia i były oczkiem w głowie miejscowych władz, jako symbol „tężyzny duchowej" i „zdrowia moralnego" tej „naszej kochanej przyszłości" czyli nas — młodzieży.

Przede wszystkim — działały chóry. Doskonale wypadały, wykonując na trzy lub cztery głosy popularne pieśni masowe „Na prawo most, na lewo most", „Jak przygoda, to tylko w Warszawie", „Hej, wy konie rumaki stalowe" albo „Suliko". Sięgano też pełną piersią po repertuar ludowy, wzorując się na bardzo już popularnym „Mazowszu". Zapamiętałem z tamtych czasów chór Akademii Medycznej, ale przede wszystkim — młody Chór Wydziału Rolnego UMCS, pracujący pod batutą studenta tego wydziału, Bogusława Szota. Od czasu do czasu dawał także znać o swym istnieniu Chór Męski Wydziału Weterynarii UMCS. Był jednak słabo zgrany. Jedni tłumaczyli to nawałem nauki, która nie pozwalała na częste próby, inni — zbyt wielką liczbą w owym zespole sznapsbarytonów i popij-basów. W 1953 r. powstał Zespół Taneczny UMCS, założony przez młodego wychowawcę WF, Stanisława Leszczyńskiego. Działał na razie bez chóru i orkiestry, ale cieszył się dużym zainteresowaniem wśród miłośników tańca ludowego. Zaś szczególnym aplauzem studenterii — od momentu, gdy podczas jednego z występów, po inaugurującym rok akademicki natchnionym wykładzie prof. Gabriela Brzęka na temat osiągnięć współczesnej biologii, jednej z tancerek pękła w tańcu gumka u spódnicy. Na Akademii Medycznej znany był dobrze Zespół Muzyczny (gitara, banjo, kontrabas, akordeon, perkusja), w którym rej wodzili dwaj medycy na ukończeniu — Zdzisław Matusewicz i Jan Wolski. Grali do tańca na zabawach studenckich, a także różne kawałki koncertowe, jak: „Hen za górą jest granica, przy granicy jest strażnica" albo „Samotna harmonia" czy „Ech, ta droga". Matusewicz specjalizował się w śpiewaniu przy akompaniamencie gitary „błotnych" piosenek rosyjskich (ale tylko w zaufanym gronie) w rodzaju „Ciplonka", „Murki", „Sidieli my na krysze" itp. Wkrótce, po przyjściu na Akademię Medyczną Romana Trawińskiego zespół ten przekształcił się w ulubioną przez środowisko studenckie pierwszą lubelską grupę jazzową.

Na KUL-u działał chór mieszany, prowadzony jakiś czas przez obecnego lubelskiego adwokata, Leszka Hoffmana. Przede wszystkim jednak wyróżniał się Teatr Akademicki KUL, założony w 1952 r. z inicjatywy dzisiejszego prorektora tej uczelni, Stefana Sawickiego, a pozostający pod opieką artystyczną, i w ogóle opieką serdeczną, prof. Ireny Sławińskiej, zwanej powszechnie „Ciotką". Ten zespół bardzo szybko zdecydował się na wyraźny profil teatru idącego w kierunku poetyckim. Wreszcie — na UMCS działał Zespół Dramatyczny pod kierunkiem Jadwigi Grossman.

Trafiłem do niego „z ogłoszenia". Któregoś dnia, na początku roku akademickiego 1954/55, zobaczyłem przypięte na drzwiach wejściowych do prosektorium Katedry Anatomii Porównawczej Zwierząt — ogłoszenie o „naborze" chętnych do „kółka dramatycznego". Podpisane było przez moją starszą koleżankę z Wydziału Weterynarii, przystojną wysoką blondynkę Wandę Randasówną, działaczkę Zrzeszenia Studentów Polskich. Ponieważ w latach szkolnych należałem do zespołu dramatycznego, a także dlatego, że bardzo mi się podobała koleżanka Randasówna, poszedłem do Rady Okręgowej ZSP, aby zasięgnąć bliższych informacji.

Rada Okręgowa mieściła się w początkach lat pięćdziesiątych w obskurnej oficynie kamienicy przy ul. Królewskiej 15. Z klatki schodowej na pierwszym piętrze wchodziło się na lewo do akademickiej przychodni zdrowia, prowadzonej przez niezapomnianego dr. Kozaka, a na prawo — do „Rady". Całość tej „instytucji" urzędowała z powodzeniem w dwóch pokojach z kuchnią. Z tym, że w mniejszym pokoiku, na prawo od kuchni — pełniącej rolę sekretariatu — mieszkał z żoną przewodniczący RO ZSP, Zdzisław Andruszkiewicz, zwany po prostu „Zdzichem", dzisiaj — prezes Zarządu Głównego RSW „PRASA". Z „sekretariatu" wkraczało się na wprost do wielkiego pokoju zastawionego biurkami, i to była „Rada Okręgowa". Ukosem między dwoma oknami naprzeciw wejścia stało biurko przewodniczącego. Przy pozostałych zasiadali: Erwin Staniek — odpowiedzialny za sprawy kultury studenckiej i nieformalny zastępca Andruszkiewicza; student prawa — Jurek Wołoszyn, który prowadził finanse; Franek Piechota z Wydziału Rolnego prowadzący sprawy ekonomiczne Zrzeszenia; oraz Basia Kunicka, studentka prawa, działająca w Kole Przyjaciół ONZ. To chyba był cały urzędujący skład Rady Okręgowej, plus studentka-maszynistka pracująca na wpół społecznie.

Po wielu latach, już jako dziennikarz, przeraziłem się, gdy wkroczywszy do obszernych pomieszczeń którejś kolejnej Rady Okręgowej, wpadłem w wir sekretarek, intercomów, centralek telefonicznych i antyszambrów, w których czekali spłoszeni studenci-petenci. Było to wszystko niby bardzo fajne i przypominało jakieś ministerstwo, tylko, że ja tam się czułem zdecydowanie nieswojo.

Zespół Dramatyczny UMCS powstał w roku 1952. Założył go student prawa, Jerzy Litwin. Po paru miesiącach wystawiono sztukę Adama Tarna „Zwykła sprawa". Ale chyba za prawdziwe narodziny Zespołu należy uznać rok akademicki 1953/54, kiedy jego kierownictwo objęła Jadwiga Grossmanówna.

Był to typ artysty-społecznika. Przystojna, o oryginalnej południowej urodzie, nie poprzestawała na występach w teatrze, ale była także radną Wojewódzkiej Rady Narodowej, a w 1955 czy na początku 1956 r. objęła kierownictwo Wojewódzkiego Wydziału Kultury, rozstając się nawet na pewien czas ze sceną. Wystawialiśmy pod jej kierownictwem sztuki i przygotowywaliśmy wieczory poezji. Ale przede wszystkim byliśmy czymś w rodzaju „szkółki teatralnej". Dla Grossmanównej końcowy efekt pracy rocznej z „jej" studentami nie sprowadzał się do „premiery", lecz przede wszystkim miało to być zamknięcie pewnego odcinka wiedzy o teatrze, literaturze i sztuce. W rozumieniu studenckich „czynników" próby może i szły w zespole kulawo, ale były to wszak głównie zebrania dyskusyjne, na których mówiono na temat ekspresji aktorskiej, ćwiczono dykcję i głos, dokonywano analizy dzieła dramatycznego. Pani Wisia uczyła nas teatralnego i literackiego myślenia, rozbudzała wrażliwość artystyczną, i pewnie dlatego sporo osób z tej grupy poświęciło się teatrowi, literaturze, dziennikarstwu. Olek Gabrusiewicz trafił po kilku latach do „Kameny", Staszek Szreniawski i Wojtek Kaczanowski zostali aktorami dramatycznymi, Kazio Lutomski — aktorem i reżyserem teatru lalkowego, Hance Czarneckiej — niezwykle utalentowanej — tylko stan zdrowia przeszkodził w karierze scenicznej. Szereg innych osób pracowało lub nadal pracuje w teatralnym ruchu amatorskim.

✲

W roku 1954 Lublin był miastem cichym i słabo oświetlonym, na wyłożonych granitową kostką jezdniach ulic rozlegał się częściej klekot dorożek konnych niż szum samochodów. Bujne życie artystyczne, które krzewiło się tutaj tak gorąco w pierwszych miesiącach i latach po wyzwoleniu — odpłynęło do Warszawy, Łodzi, Krakowa. Wychodził tylko jeden dziennik, działał teatr zawodowy.

Właśnie wtedy, późną jesienią 1954 r., gdy ślęczałem nad preparatami anatomicznymi, odczynnikami chemicznymi i gdy starałem się znaleźć dla tych zajęć przeciwwagę na deskach amatorskiej sceny studenckiej, wpadł mi po raz pierwszy w życiu w ręce numer pisma, które nosiło tytuł „Kamena. Kwartalnik społeczno-literacki". Było to właściwie dość grube tomisko, wydawnictwo broszurowe formatu A-4, ujęte w czerwoną kartonową okładkę, na której widniał rysunek lubelskiej Bramy Krakowskiej. Numer poświęcono jubileuszowi dziesięciolecia Polski Ludowej. Był to numer potrójny, liczył 160 stron druku. Wypełniały go w przeważającej mierze wspomnienia literatów, aktorów, plastyków, dziennikarzy i działaczy politycznych z okresu PKWN. Otwierało ten numer wielkie zdjęcie Bolesława Bieruta i tekst Manifestu Lipcowego, a następnie szedł fragment książki Jerzego Putramenta, wiersz Stanisława Jerzego Lecа, potem utwory Zbigniewa Jakubika, Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Juliusza Kleinera, Stanisława Piętaka, Juliana Przybosia, Jarosława Iwaszkiewicza, Anny Jakubiszyn, Marii Bechczyc-Rudnickiej, Tadeusza Chabrosa, Włodzimierza Chełmickiego, Zygmunta Mikulskiego, Konrada Eberhardta, Anny Kamieńskiej, Józefa Nikodema Kłosowskiego i wielu innych. Przeczytałem z zainteresowaniem owe wspomnienia, ale — poza kilkoma nazwiskami — z ich autorami stykałem się po raz pierwszy w życiu. Nic mi nie mówiły nazwiska redaktorów naczelnych: Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Marii Bechczyc-Rudnickiej, a nazwisko Konrada Bielskiego w stopce redakcyjnej przypomniało mi zasłyszaną od stryja adwokata z Lubartowa opinię, że to doskonały adwokat-karnik. Nic nie wiedziałem o okresie chełmskim „Kameny", o jej powojennym reaktywowaniu przez KAJ-a i o późniejszej samotnej walce, jaką toczył z uporem i zaciętością o utrzymanie tytułu, ani o trzyletniej przerwie w wydawaniu pisma, które teraz się odradzało. Przeczytałem „Kamenę" i odłożyłem ją na półkę. Nie przypuszczałem nawet przez chwilę, że zwiążę się z tym pismem na wiele, wiele lat.

Z życia dawnego Lublina

Między magistratem a filantropią

Józef Marczuk

GESTOREM i organizatorem w zaspokajaniu podstawowych potrzeb społecznych ludności Lublina w okresie międzywojennym był samorząd miejski powoływany na drodze wyborów powszechnych. Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 lubelski samorząd otrzymał szerokie uprawnienia. Rada Miejska, złożona z 46 radnych, decydowała o całokształcie gospodarki komunalnej, finansowej i mieszkaniowej, zajmowała się też sprawami opieki społecznej, służby zdrowia, oświaty i kultury. Organem zarządzającym i wykonawczym Rady Miejskiej był wybierany przez nią Magistrat (Zarząd Miejski), złożony z prezydenta, dwóch wiceprezydentów i pięciu ławników. Prezydentem miasta został wybrany na początku 1919 r. adwokat Czesław Szczepański, bezpartyjny, poparty przez całą prawicę i centrum Rady.

Potrzeby opiekuńcze ludności Lublina po odzyskaniu niepodległości były szczególnie duże. W mieście szerzyło się bezrobocie, odczuwano dotkliwy brak mieszkań, biedniejsze warstwy ludności cierpiały głód. Wyraźnie dawał się odczuć brak podstawowych artykułów spożywczych. Sprawy te często znajdowały się na porządku dziennym obrad Rady Miejskiej i jej komisji problemowych. Dyskusje nad formami pomocy ludności biednej i bezrobotnej w Radzie nasilały się w czasie zimy, gdy setki robotników sezonowych pozostawało bez pracy. Władze miejskie przychodziły im wówczas z pomocą, poprzez prowadzenie dożywiania w kuchniach opieki społecznej oraz udzielanie zapomóg w gotówce, węglu i produktach żywnościowych. W maju 1919 r. Rada Miejska powołała Komisję Opieki Społecznej, która zajęła się uporządkowaniem gospodarki w domach opiekuńczych oraz ustaleniem pilnych potrzeb ludzi poszkodowanych w wyniku wojny, bezdomnych i ubogich. Niosła ona pomoc licznym lublinianom powracającym po wojnie do rodzinnego miasta. Przy Wydziale Opieki Społecznej Magistratu powstał już w kwietniu tegoż roku Komitet Opieki nad Inwalidami Wojennymi.

Wykonanie podstawowych zadań związanych z funkcjonowaniem zarówno otwartej opieki społecznej, jak i zakładowej, władze miejskie powierzyły Wydziałowi Opieki Społecznej Magistratu. Nadzór nad tym wydziałem sprawował ławnik Ignacy Kubecki, niezwykle ofiarny i energiczny działacz socjalistyczny i samorządowy, poznający wówczas dopiero środowisko lubelskie. Wywodził się on z warszawskiej rodziny robotniczej. Z zawodu był drukarzem i grafikiem. Tuż przed odzyskaniem niepodległości w 1918 r. związał się z Lublinem. W latach 1923—1927 był wiceprezydentem miasta i nadal zajmował się opieką społeczną.

Ławnikowi Kubeckiemu udało się skupić w Wydziale Opieki Społecznej ludzi uspołecznionych i mocno związanych z działalnością opiekuńczą. Do grona takich ludzi należał Delaszkiewicz powołany w 1918 r. na naczelnika wydziału. Miał on już bogate doświadczenie w dziedzinie opieki nad dzieckiem. Bezpośredni nadzór wychowawczy nad przedszkolami miejskimi Kubecki powierzył Janinie Górzyńskiej (późniejszej Bierutowej), znanej z ofiarności społecznej.

Do stałych instytucji opieki społecznej prowadzonych przez lubelski samorząd — oprócz przedszkoli — należały: żłobek miejski przeznaczony dla niemowląt, dwa zamknięte zakłady wychowawcze dla sierot. Jeden z nich, im. Stanisława Jachowicza, przyjmował dzieci w wieku przedszkolnym, drugi zaś pod nazwą „Osada Dziecięca" — dzieci od 7 do 14 lat. Opieka społeczna utrzymywała także przytułek dla staruszek pod wezwaniem Św. Ducha. Nadto w bezpośredniej administracji Wydziału Opieki Społecznej pozostawał zakład wychowawczy sierot wojennych, utrzymywany przez Skarb Państwa. Domy wychowawcze miały zapewnioną odpowiednią opiekę higieniczno-lekarską. Na uwagę zasługuje organizacja ochrony macierzyństwa w żłobku miejskim. Przyjmowano do niego bowiem oprócz niemowląt również część matek, które na skutek złych warunków życiowych nie były w stanie należycie opiekować się dziećmi w domu.

Największą bolączkę lubelskiej opieki społecznej, zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości, stanowiły zbyt skromne środki finansowe w budżecie samorządu na ten cel. W 1919 r. wydatki na opiekę społeczną nie przekraczały 7 proc. ogólnych rozchodów budżetowych miasta. Wobec konieczności roztoczenia opieki nad liczną rzeszą reemigrantów, dzieci osieroconych wojną i ludzi bezdomnych, działacze samorządowi odwoływali się często do ofiarności społecznej. Trzeba przy tym przyznać, że znajdowali oni poparcie zarówno instytucji społecznych, jak i szerszych kręgów opinii publicznej. Nawiązali kontakty i uzyskali wsparcie ze strony lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności oraz Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. Sklepy LSS pomagały zaopatrywać domy opiekuńcze w żywność.

Ówczesny wiceprezydent miasta, Władysław Uziembło, wspomina o działalności charytatywnej lubelskiego duchowieństwa na rzecz ofiar wojny. W akcję tę zaangażował się ksiądz — ojciec Jacek Woroniecki, znany społecznik (w latach 1922—1925 rektor KUL). Doceniając inicjatywę ławnika Kubeckiego, zmierzającą do wyremontowania starych baraków wojskowych i umieszczenia w nich sierot wojennych, zwrócił się on do majętnych obywateli miasta o poparcie finansowe. W bezpośredniej zaś rozmowie z Kubeckim o. Woroniecki oświadczył: „Panu, jako socjaliście, ludzie zamożni pomocy finansowej nie udzielą, nawet na cele najbardziej godne poparcia, ale na moje wezwanie dadzą. Ja będę zbierał fundusze na pomoc sierotom wojny, a pan niech organizuje sierociniec"[1]. Z relacji Uziembły, który sprawował wówczas służbowy nadzór nad opieką społeczną, wynika, że „dzięki skoordynowaniu prac techników Magistratu, ofiarności robotników i rzemieślników wnoszących swoją pracę na rzecz sierot wojennych, jak również pokaźnym funduszom zebranym przez o. Woronieckiego, baraki w ciągu jednego lata zostały zaadaptowane dla kilkuset sierot"[2].

Na posiedzeniach Rady Miejskiej dosyć często poruszane były problemy otwartej opieki społecznej, związane bezpośrednio z warunkami życia ludności biednej. Odpowiednie materiały i wnioski w tym zakresie przygotowywała dla Rady Komisja Opieki Społecznej. Znana była ona ze szczególnej aktywności jej członków, takich jak Józefa Kunicka, Leontyna Zakrzewska, Władysław Giega. Na wniosek tej komisji 18 marca 1920 r. Rada Miejska poleciła Magistratowi przekazać wszystkie place miejskie nadające się do parcelacji na ogrody działkowe dla ubogiej ludności.

Ważnym zagadnieniem społecznym, przewijającym się nieustannie na posiedzeniach Rady Miejskiej aż do 1929 r., była pomoc bezrobotnym. Wobec braku własnych funduszów i wysokiego zadłużenia miasta, nie pozwalającego na uzyskanie poważniejszych pożyczek inwestycyjnych, zatrudnienie większej liczby bezrobotnych uzależnione było od kredytów państwowych. Przydzielane doraźnie dla samorządu Lublina środki wystarczały zaledwie na zatrudnienie części bezrobotnych, których liczba w połowie 1924 r., według danych Magistratu, wynosiła około 4 tys. osób. Faktycznie było ich wówczas znacznie więcej. Z relacji radnych wynika, że niekonsekwentna polityka społeczna większości endeckiej w Magistracie (np. zaniedbywanie prac publicznych) prowadziła do zmniejszenia możliwości zatrudnienia robotników oczekujących na pracę.

Rada Miejska i opinia publiczna nieustannie zarzucały Magistratowi ignorowanie elementarnych potrzeb bezrobotnych. Zarzuty te były najczęściej uzasadnione. Na początku 1926 r. Rada podjęła krytykę Magistratu za niewłaściwą postawę wobec eksmitowanych bezrobotnych z zajmowanych mieszkań. Kolegium Magistratu nie tylko nie poczyniło starań o wstrzymanie eksmisji orzeczonych wyrokiem sądu, lecz nawet podjęło decyzję o eksmisji 20 rodzin bezrobotnych z domów należących do cegielni miejskiej. Dodajmy do tego, że nakaz o eksmisji wieloletnich pracowników miejskich został podpisany przez prezydenta Szczepańskiego w styczniu, a więc w czasie trwania mrozów. Interpelacje radnych w tej sprawie pozostawały bez odpowiedzi.

Gdy w marcu 1926 r. Magistrat wstrzymał zatrudnienie bezrobotnych na robotach publicznych, doszło do licznych wystąpień i manifestacji. 6 kwietnia rewolucyjni robotnicy zebrali kilkuset bezrobotnych przed biurem Pośrednictwa Pracy przy ul. Kołłątaja 7. Zgromadzeni wyruszyli zwartym szeregiem w kierunku gmachu Magistratu. Gmach został opanowany przez bezrobotnych, a jego biura zdemolowane. Zrozpaczonych ludzi zaatakowała policja piesza i konna. Padły salwy do głodującego tłumu. W wyniku starcia sześciu policjantów i kilku robotników odniosło rany, 42 osoby aresztowano. Demonstracje wpłynęły jednak na podjęcie ze strony Magistratu i Rady Miejskiej szerzej zakrojonej akcji pomocy żywnościowej i finansowej dla bezrobotnych. Rozszerzono także zasięg prac publicznych.

Na kilku ostatnich posiedzeniach Rady Miejskiej (o większości endeckiej) w pierwszej połowie 1927 r. poszczególne kluby radnych były zgodne co do tego, że bezrobotnym należy dać pracę zamiast utrzymywać ich z zapomóg. Uchwałą Rady z 5 maja 1927 r. zdecydowano rozszerzyć zakres robót publicznych. Upoważniono Magistrat do zaciągnięcia na ten cel pożyczki z Ministerstwa Robót Publicznych w wysokości 150 tys. zł.

Wyraźnej poprawy na odcinku opieki społecznej i pomocy bezrobotnym w Lublinie można było spodziewać się dopiero po zwycięstwie wyborczym socjalistów w 1927 r. Nowa Rada Miejska, pracująca pod przewodnictwem Władysława Kunickiego, przeznaczyła na rok 1927/28 aż 25,7% całego budżetu zwyczajnego na wydatki związane z opieką społeczną, plasując Lublin na drugim miejscu w kraju po Radomiu, który na opiekę społeczną przewidział ponad 30 proc. wydatków. Przeciętne wydatki miast w Polsce na opiekę społeczną w roku 1927/28 nie przekraczały 10 proc. budżetu. Przeznaczenie tak dużych funduszy dla Wydziału Opieki Społecznej w warunkach głodu, bezrobocia, klęski braku mieszkań i żebractwa w Lublinie było słuszne.

Przy podziale kredytów opieki społecznej socjalistyczny samorząd, w większym stopniu niż w latach poprzednich, uwzględniał potrzeby ludzi najbiedniejszych i najbardziej nieszczęśliwych. Zwiększono wydatki na opiekę nad sierotami i starcami oraz na zatrudnienie bezrobotnych. Udzielono wydatnej pomocy licznym rodzinom pozostającym bez dachu nad głową. Wzmożono walkę z żebractwem, włóczęgostwem i prostytucją. Część budżetu opieki społecznej przeznaczono na zaopatrzenie dzieci szkolnych z najbiedniejszych rodzin w obuwie i ubrania. Podczas wakacji w 1928 r. Wydział Opieki Społecznej Magistratu zorganizował kolonie letnie dla 120 dzieci oraz półkolonie dla 1500 dzieci z rodzin biednych na koszt samorządu. Magistrat udzielał pomocy finansowej Towarzystwu Przyjaciół Dziecka i Towarzystwu Dobroczynności.

W końcu 1928 r. Rada Miejska przystąpiła do reorganizacji opieki społecznej. Powołała ona, obok sprawnie działającej Komisji Opieki Społecznej, instytucję opiekunów społecznych. Na stanowiska te wybrano dziewięciu obywateli z różnych dzielnic miasta. Zadaniem ich było udzielanie najbardziej celowej pomocy poprzez bezpośredni kontakt z zainteresowanymi osobami. O rozmiarze zubożenia ludności i szerokim zasięgu opieki społecznej może świadczyć fakt udzielenia pomocy ze strony lubelskiego samorządu w 1928 r. dla około 17 tys. osób.

W związku z ponownym wzrostem liczby bezrobotnych w okresie kryzysu gospodarczego władze miejskie zwróciły się o pomoc do społeczeństwa. Na początku 1931 r. powstał w Lublinie Miejski Komitet Pomocy Bezrobotnym, na którego czele stanął kierownik Zarządu Miejskiego Józef Piechota. Jako organ społeczny Komitet ten dokonywał zbiórek pieniężnych oraz odzieży i artykułów żywnościowych, a następnie rozdzielał je wśród bezrobotnych. Prowadził również — wspólnie z Wydziałem Opieki Społecznej — akcję dożywiania w kuchniach dla bezrobotnych. W lutym 1931 r. w czterech kuchniach na terenie miasta blisko 6 tys. bezrobotnych i członków ich rodzin otrzymywało bezpłatne obiady. Ze względu na szczupłe fundusze, przeznaczone na ten cel, władze miejskie już w następnych miesiącach ograniczyły liczbę wydawanych posiłków.

Po wyborach samorządowych w 1934 r. sprawy opieki społecznej znowu szerzej wypływały na forum Rady Miejskiej. W czasie dyskusji nad budżetem na rok 1935/36 radni domagali się zwiększenia wydatków dla instytucji opiekuńczych oraz na dożywianie dzieci i opiekę higieniczno-lekarską w szkołach miejskich. Ostro krytykowali oni politykę finansową Zarządu Miejskiego w tym zakresie, który na utrzymanie dzieci na koloniach letnich przeznaczył zaledwie 50 zł.

28 listopada 1935 r. Rada Miejska dokonała oceny pracy miejskich instytucji opieki społecznej. Podstawę do dyskusji stanowiło sprawozdanie Komisji Opieki Społecznej. Wynikało z niego, że instytucje opieki nad dzieckiem i baraki dla bezdomnych urągały wszelkim zasadom higieny i zdrowotności. Potwierdzili to radni w dyskusji. Rada Miejska zobowiązała Zarząd Miejski do uwzględnienia w budżecie na rok 1936/37 kredytów na budowę nowych baraków dla bezdomnych. Poleciła też prezydentowi miasta, Józefowi Piechocie, wystąpić do władz administracyjnych o zwrot samorządowi gmachu przy ul. Staszica (pałac Potockich), mieszczącego Starostwo Grodzkie i Komendę Policji Państwowej, oraz przeznaczenie go dla instytucji opieki społecznej.

W ostatnich latach przedwojennych ożywiona została w Lublinie działalność społeczno-opiekuńcza. Jej ciężar został przesunięty w znacznej mierze na rzecz charytatywnych instytucji społecznych. Z inicjatywy Rady Miejskiej w maju 1938 r. powstał Miejski Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży, na którego czele stanął radny Stanisław Bardzik. Zasługą tego Komitetu było zorganizowanie pogotowia opiekuńczego, mieszczącego się przy ul. Królewskiej 11. Pogotowie roztaczało stałą opiekę nad dziećmi opuszczonymi przez rodziców. W dobrych warunkach lokalowych i bytowych dzieci miały zapewnioną naukę oraz zabawę we własnej świetlicy. W instytucji tej przebywali także nieletni przestępcy. Na przełomie lat 1938—1939 Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży prowadził akcję dożywiania w szkołach i przedszkolach. Objęła ona łącznie około 3600 dzieci. Dzieci rodziców bezrobotnych oraz sieroty, korzystały z zorganizowanej opieki udzielanej im przez Miejski Komitet Pomocy Zimowej Bezrobotnym, pracujący pod przewodnictwem prezydenta miasta, Bolesława Liszkowskiego. Fundusze zgromadzone przez miejskie instytucje społeczne, zasilane dodatkowymi składkami, skutecznie wspierały działalność władz samorządowych w zakresie zadań opiekuńczych.

Artykuł oparty jest na źródłach archiwalnych znajdujących się w zasobach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie. Stanowi on fragment większej pracy autora przygotowanej do druku.

Brama Krakowska od strony placu Łokietka. Z lewej strony fragment gmachu Magistratu w Lublinie, w którym odbywały się posiedzenia Rady Miejskiej (1918—1939).

1) W. Uziembło: Wspomnienia 1900—1939, Warszawa 1965, s. 233.
2) Tamże, s. 230—231.

„Posuń się kotku, przyszedł twój prezydent!”

Dokończenie ze str. 7

Życie seksualne Johna F. Kennedy'ego nosiło już — zdaniem Willsa — cechy wręcz patologiczne. Jeden z kolegów z ławy uniwersyteckiej późniejszego prezydenta przedstawia w książce Willsa, co działo się w studenckim mieszkaniu młodego Johna Kennedy'ego. „Przyszła śliczna blondynka z West Palm Beach i zniknęła w jego pokoju. Po jakimś czasie John wyszedł, mówiąc: »Tej muszę się pozbyć, ma pstro w głowie«. Wkrótce po tym pojawiła się inna dziewczyna i myślałem, że to już na pewno ta, z którą zamierza spędzić noc. Ale nazajutrz po śniadaniu pojawiła się zupełnie inna. Brał dziewczyny tuzinami, hurtowo...”.

W swoich aferach miłosnych John Kennedy nie odznaczał się ani dyskrecją, ani wyczuciem politycznym. Jako młody oficer marynarki stracił stanowisko w wywiadzie wojskowym w Waszyngtonie, ponieważ zbyt jawnie afiszował się z pewną nordycką pięknością nazwiskiem Inge Arvad, o której wiadomo było, że jest na usługach hitlerowskich Niemiec.

Już jako prezydent, bawiąc w Londynie, J. Kennedy dał premierowi Haroldowi Macmillanowi do zrozumienia, czego oczekuje od gospodarzy: dostaje mianowicie nieznośnego bólu głowy, jeśli zbyt długo musi obywać się bez kobiety. A zapraszając do Białego Domu Judith Campbell, kochankę gangstera Sama Ciancany, Kennedy osiągnął niewątpliwie „nową granicę”, chociaż trudno byłoby pogodzić ją z tym, do czego wzywał naród w swoich płomiennych przemówieniach.

Następca Kennedy'ego, Lyndon Johnson, starał się prześcignąć w tej dziedzinie swego poprzednika. Jego życie seksualne było w Waszyngtonie legendarne. „Ten prezydent przynajmniej nikogo nie dyskryminuje” — mówiono w mieście, czyniąc aluzję do tego, że nie przebierał w partnerkach. Tak przynajmniej twierdzi Myra Mc Pherson w książce „The Power Lovers”.

„Swoje kobiety Johnson — jak pisze pani Mc Pherson — porównywał do krów na swoim rancho, przechwalając się, że »znów jedną nacechował«. Drzwi pokoi gościnnych w jego wiejskim domu nie miały w ogóle zamków, każda zapraszana na weekend pani musiała się liczyć z nocną wizytą Ojca Narodu, który obudzi ją, mrucząc cicho, z teksaskim akcentem: »Posuń się kotku, przyszedł twój prezydent...«”.

Ale i zwykli kongresmani traktowali posiadaną władzę polityczną jako tytuł do czerpania dodatkowych beneficjów natury prywatnej. W podziemiach i na zapleczu gmachu Kapitolu powstał więc sekretny świat dla uprzywilejowanych, którego istnienia nie podejrzewali nawet turyści, w skupieniu i z szacunkiem zwiedzający marmurowe sale tego przybytku amerykańskiej demokracji: baseny, sauny, gabinety rekreacyjne i luksusowe pokoje wypoczynkowe, dostępne tylko dla członków Wysokiej Izby, ekskluzywne sklepy, restauracje, gdzie obowiązywały stałe, nie podlegające prawom inflacji ceny, a także prywatny bank, udzielający pożyczek na warunkach, jakie w rzeczywistym świecie już dawno przestały istnieć.

Reprezentantom narodu za darmo czyści się buty, z usług fryzjerskich korzystają dając mistrzowi tylko napiwek, jeżdżą oddzielnymi windami, które nie są dostępne nawet dla personelu. Oczywiste jest więc, że do tych wszystkich przywilejów należy także prawo swobodnego dobierania partnerów uciech seksualnych.

Naturalnie, nie należy rozumieć tego tak, że atmosfera u szczytu władzy amerykańskiej stolicy przepojona jest wyłącznie miłymi fluidami erotycznego napięcia. Przeciwnie, dziennikarka „NEWSWEEK'a,” Blythe Babyak pisze wręcz o „nijakiej, pozbawionej wszelkiego napięcia atmosferze” Waszyngtonu. „Oczywiście seks jest obecny, ale jedynym prawdziwym romansem, jaki rozgrywa się w tym mieście, jest romans z władzą”.

I rzeczywiście: w Waszyngtonie prawie w ogóle nie ma mowy o flircie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Mężczyźni i kobiety codziennie spotykają się na niezliczonych coctailach i przyjęciach, ale spotkania te nie są niczym innym, jak tylko kontynuacją dnia roboczego z kieliszkiem w ręku. „Mogłaby siedzieć tu na kanapie najgłębiej wydekoltowana Sophia Loren, ale gdyby do pokoju wszedł Tip O'Neill (wpływowy rzecznik Izby Reprezentantów), wszyscy mężczyźni natychmiast by ją opuścili, i rzuciliby się go witać” — ironizowało niedawno czasopismo „The Washingtonian”.

Pewna młoda osoba, robiąca karierę w kołach politycznych, po przeniesieniu się z Nowego Jorku do Waszyngtonu stwierdziła z pewnym rozczarowaniem: „Nagle przestano mnie dostrzegać. Na owych słynnych przyjęciach w stolicy mężczyźni mijali mnie obojętnie i biegli tam, gdzie jak sądzili znajdowało się centrum władzy”.

Tego rodzaju opinie na temat erotycznej pustki Waszyngtonu nie bardzo pasują do wyskoków erotycznych, jakimi „ludzie ze szczytu” szokują zacnych mieszkańców prowincji; sprzeczność jest jednak tylko pozorna. Ciągła walka o władzę jest bowiem namiętnością tak absorbującą i wyczerpującą, że na głębsze intymne kontakty międzyludzkie nie staje już ani czasu, ani energii. Starcza ich ledwie w sam raz na pośpieszne igraszki na poziomie salonu masażu.

Jednocześnie w głowach amerykańskich polityków kłębią się najwidoczniej jeszcze wygórowane wyobrażenia o własnej roli jako mężczyzny i jako mężczyzny posiadającego władzę. To tradycja specyficznie amerykańskiego pojęcia męskości sprawia, że politycy tego kraju i ich partnerki wydają się niekiedy wyjęci żywcem ze scenariusza westernu. Ideałem jest tu „mocny chłop”, który „ostro pracuje i ostro gra”, a więc — pije i nie przepuszcza żadnej spódniczce, a jednocześnie występuje przeciwko całemu światu zła, który siłą swych pięści i rewolweru sprowadza na drogę cnoty.

Polityka światowa w tym układzie współrzędnych przekształca się w jakieś „globalne współzawodnictwo męskości” — pisze Lucy Komisar, w niedawno opublikowanej książce na temat amerykańskiego „czynnika męskości” („Machismo Factor”). Pod jego wpływem amerykańscy politycy (naturalnie nie tylko oni, ale oni przede wszystkim) tracą trzeźwy pogląd na interesy swego narodu. Ich jedynym pragnieniem jest „wsadzić przeciwnika mordą w g...” (J. F. Kennedy), „nie pozwolić się potrącać” (Jimmy Carter), „widzieć, jak wróg umiera — nie nagle, ale w cierpieniach” (Caspar Weinberger).

Prowadzenie rokowań to tchórzostwo: dla Johna F. Kennedy'ego doradcy, którzy pragnęli odwieść go od kontynuowania polityki konfrontacji podczas kryzysu kubańskiego, byli „przeklętymi tchórzami, myślącymi tylko jak uchronić swoje jaja”. Amerykański politolog Richard Barnet nazywa to „syndromem owłosionej piersi”. Nic więc dziwnego, że politycy, którzy dla określenia swoich zadań używają takiego mocnego „męskiego” języka, uważają także, że prywatnie powinni zachowywać się podobnie.

Oczywiście, owe dążenia do stałego udowadniania swej męskości, są z drugiej strony hamowane wymogami purytańskiej etyki, które nakazują, by amerykański polityk odgrywał przed wyborcami stale wzruszające przedstawienie o wzorowym, amerykańskim małżeństwie. Tak więc, żona powinna mu towarzyszyć, gdy o świcie zjawia się przed bramą fabryki, aby ściskać dłonie spieszących do pracy robotników. W południe ma siedzieć obok niego na podium przed obowiązkowym talerzem z pieczonym kurczęciem i zjadliwie zielonym groszkiem z puszki i słuchać, jak wygłasza stale te same płaskie frazesy wyborcze.

A kiedy wreszcie zostanie wybrany na stanowisko, ma stać obok niego, razem ze świeżo wymytymi dziećmi, i wolno jej trzymać biblię, na którą on składa przysięgę. Nawet jeśli to, co kiedyś było między nimi dawno już rozpadło się w gruzy, fasada musi być zachowana.

Chociaż w Stanach Zjednoczonych prawie co drugie małżeństwo się rozpada, to rozwód wciąż jeszcze uchodzi za skazę w życiorysie polityka, obniża jego wartość rynkową. Tak więc Edward Kennedy przystępując do kampanii wyborczej ściągnął z Bostonu jeszcze raz swoją żonę Joan, z którą od dawna już żył w separacji i kazał jej wygłaszać reklamowe przemówienia do wyborców.

Joan, po przebytej właśnie odwykowej kuracji antyalkoholowej nie przypominała zresztą wcale szczęśliwej małżonki, lecz raczej nakręcaną lalkę. Kennedy przerwał więc szybko całe przedstawienie i pośpiesznie wszczął kroki rozwodowe, aby do następnej kampanii wyborcy zdążyli o niej nieco zapomnieć.

Z tego też powodu waszyngtońskie rozwody, jeśli już nie da się ich uniknąć, przeprowadza się najchętniej w sierpniu. Nie obraduje Senat, ani Izba Reprezentantów, każdy, kto dba o zdrowie, ucieka z miasta przed dusznym, obezwładniającym upałem. Jest to więc dla polityków — jak pisze Diana Mc Lellan, prowadząca rubrykę skandali towarzyskich w „Washington Post” — „doskonała okazja, aby wymienić żonę na nowy model”.

Takie przypadki nie zdarzają się jednak zbyt często. Niszczycielski, rozbijający małżeństwo romans nie bardzo mieści się w pełnej stresów egzystencji waszyngtońskich polityków. Tym tłumaczy się także płytkość ich kontaktów erotycznych. Załatwia się te sprawy w pośpiechu i jakby mimochodem „w samochodach, w łazienkach, na pokrytych czarną skórą kanapach w gabinetach posłów, lub — jak w pewnym słynnym przypadku — w prywatnej saunie jednego z członków rządu” — pisze w swej książce Diana Mc Lellan.

W opublikowanej niedawno przez nowojorski „Daily News” serii artykułów na temat seksu i władzy w Waszyngtonie czytamy: „Politycy waszyngtońscy wolą pośpieszne przeżycia erotyczne, pozbawione emocji i namiętności, serię jednorazowych występów gościnnych, podczas których ci całkowicie pochłonięci swoją pracą mężczyźni mimochodem zażywają seksu, tak jak zażywa się valium, czy rozgrywa kilka setów w tenisa”.

Pewna młoda mieszkanka Nowego Jorku tak opowiada o swoim związku z pewnym wybitnym kongresmanem z Manhattanu: „Żądał, aby odbywało się to prędko, bez komplikacji i wyłącznie wtedy, kiedy dysponował wolną chwilą między rozlicznymi zajęciami. Często zdejmował krawat i rozpinał koszulę już w momencie, gdy otwierał drzwi do mojego pokoju. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Czasem pozostawał u mnie zaledwie 20 minut, podczas gdy na dole czekał na niego kierowca w samochodzie z niewyłączonym silnikiem”.

W takiej sytuacji każda kobieta musiałaby czuć się wielką egoistką, gdyby domagała się więcej uwagi i czasu dla siebie od kochanka, który tak niezmordowanie trudzi się dla ojczyzny...

Wielu spośród tych polityków, którzy tak strasznie są zajęci służbą dla dobra społeczeństwa, uważa nawet, że uwłaczałoby ich godności, gdyby osobiście mieli się trudzić wyszukiwaniem sobie towarzystwa do łóżka. Do zadań sekretarza należy więc dostarczanie szefowi partnerek na krótką chwilę pomiędzy dwoma posiedzeniami, lub na przystanku w czasie podróży wyborczej.

Jak to się odbywało w przypadku Edwarda Kennedy'ego, znanego w Waszyngtonie z licznych i niewybrednych afer miłosnych — opisywało swego czasu poważne pismo „The Washington Monthly”: „W większości przypadków nie znał on wcześniej swej partnerki. Jeden z jego ludzi wyszukiwał dziewczynę w typie, jaki odpowiadał senatorowi, i pytał ją, czy nie zechciałaby umówić się z nim na spotkanie, co z reguły oznaczało — kolację, a potem szybko do łóżka”.

Jednakże — jak twierdzi Garry Wills i nie tylko on — liczne afery erotyczne Edwarda Kennedy'ego bardzo zaszkodziły mu w ubieganiu się o nominację na kandydata do fotela prezydenckiego. Podczas gdy u jego starszego brata podobne postępowanie budziło jeszcze pewną sympatię liberalnej inteligencji amerykańskiej, która patrzyła na niego z tajonym podziwem, jako człowieka, który dostaje wszystko, czego chce, to dziś — ci sami liberałowie w zachowaniu Teddy'ego, zmieniającego kochanki jak rękawiczki, dostrzegają pogardliwy stosunek do kobiety, który w tych kołach wyszedł już z mody.

Do zmiany klimatu przyczyniło się także i to, że liczni Amerykanie — i to nie tylko pruderyjna moralna większość — po klęsce Watergate opowiadają się za nową etyką polityczną, która nie może ominąć także sfery życia prywatnego polityków.

Do przeszłości należą dni, kiedy polityk mógł przyjść na posiedzenie pijany, lub pojawić się na przyjęciu z kobietą, o której wiadomo było, że jest jego kochanką — pisze nowojorski „Daily News”!

Niemniej, na gruntowną zmianę zasad waszyngtońskiej gry seksu i władzy raczej nie można liczyć, ponieważ dla wszystkich zainteresowanych gra ta jest wciąż jeszcze zbyt atrakcyjna, a także ponieważ — jak się wyraził, prawdopodobnie na podstawie własnego doświadczenia, Henry Kissinger — dla wielu kobiet władza wciąż jest najlepszym środkiem podniecającym.

Promotor polskiej muzyki współczesnej

Dokończenie ze str. 3

tem, że dopiero w warunkach Polski Odrodzonej autor *Mitów* wystąpił z własną filozofią stylu narodowego i znalazł drogę, która wiodła naszą muzykę ku przyszłości. Po dokonaniu niezbędnych ustaleń Szymanowski przystąpił natychmiast do realizacji swoich koncepcji.

Sukcesem zostały uwieńczone poczynania kompozytora prowadzące do syntezy „polskości i europejskości”. Droga, którą poszedł Szymanowski, prowadziła do *Słopiewni* poprzez *Stabat Mater*, mazurki, do pieśni *Lecioły zórazie*; od folkloru uniwersalnego poprzez folklor imaginacyjny do folkloru autentycznego; od inspiracji podhalańskich poprzez mazowieckie do kurpiowskich. Twórca *Króla Rogera* odchodził stopniowo od ponadhistoryczności ku konkretyzowanemu folklorowi. Wprawdzie odżegnywał się od stosowania folkloru in crudo, ale pozostawił widowisko sceniczne, obraz z życia i obyczajów górali z Podhala. To właśnie dzieło stanowi pełną realizację koncepcji integralnego stylu narodowego, o który upominali się artyści. *Harnasie* można uważać za odpowiednik zbiorowej realizacji plastycznej: Pawilonu na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu (1925 r.), pomyślanego jako synteza pierwiastków narodowych. Balet bliski jest klimatowi dzieł Stryjeńskich czy Szczepkowskiego, co potwierdził Leon Schiller. Twórca *Teatru ogromnego* wspomina rozmowy z Szymanowskim na temat scenografii *Harnasiów*: „Najbliższe formą wydały mu się drzeworyty Skoczylasa, tonem *Drzewiej* Orkanowy i najpatetyczniejsze sce-

Ekran i widz

Kawałek życia reżysera

TELEWIZJA Polska zaprezentowała ostatnio, w ramach Filmoteki Narodowej, kilka filmów z dorobku Jerzego Zarzyckiego, w tym — drugą, powojenną wersję „Żołnierza Królowej Madagaskaru". Oglądając ów film, pomyślałem sobie, że dla większości widowni, szczególnie tej młodszej, zmarły przed ponad dziesięciu laty artysta jest postacią właściwie nieznaną i że właśnie dlatego warto przypomnieć jego sylwetkę. Tym bardziej, iż droga twórcza Zarzyckiego może być przykładem, na jakie przeciwności losu nieraz napotyka zdolny artysta, jakie przeżywa niezasłużone tragedie i upadki, z których przychodzi mu się podnosić z trudem.

Jerzemu Zarzyckiemu marzyło się kino ambitne. Nic więc dziwnego, że na początku lat trzydziestych związał się ze „Startem" — grupą ludzi, którzy pragnęli ówczesne zaściankowe polskie kino pchnąć na nowe tory. Byli wśród nich Antoni Bohdziewicz, Eugeniusz Cękalski, Aleksander Ford, Franciszka i Stefan Themersonowie, Wanda Jakubowska, Stanisław Wohl, Witold Lutosławski. „Start" grupował nie tylko młodych reżyserów i operatorów filmowych, ale także krytyków, teoretyków kina i muzyków. Kiedy w 1935 r. ze „Startu" wyłoniła się Spółdzielnia Autorów Filmowych, znalazł się w niej również Jerzy Zarzycki. W 1937 r. zrealizował Zarzycki wraz z Aleksandrem Fordem pierwszy film — „Ludzie Wisły", oparty na powieści Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego „Wisła". Pokazywał on w sposób realistyczny środowisko warszawskich „wodniaków", ich życie, pracę, także — biedę, którą cierpieli. Niestety, dla dystrybutorów film był zbyt „ambitny". Zmuszono dwóch młodych reżyserów do całego szeregu cięć, przeróbek i dokrętek ukazujących — dla uatrakcyjnienia tematu — środowisko „apaszowskie" (co miało wprowadzić dreszczyk emocji); zrezygnowano ze scen zbyt wyraźnie ukazujących nierówność społeczną. W efekcie „Ludzie Wisły" stracili swą artystyczną i ideową wyrazistość.

W 1939 r. Jerzemu Zarzyckiemu powierzono reżyserię komedii filmowej, której scenariusz oparty był na znanej farsie Stanisława Dobrzańskiego „Żołnierz Królowej Madagaskaru". Miał być to zarazem film muzyczny, bo „Żołnierz" obfituje w partie śpiewane, kuplety oraz wstawki taneczne. Dobrano najlepszych aktorów, sprawdzonych na ekranie i na estradzie. Występowali w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru" m. in. Lena Żelichowska, Mieczysława Ćwiklińska, Michał Znicz i Ludwik Sempoliński. Pod koniec lata 1939 r. ogłoszenia w prasie filmowej zapowiadały już premierę filmu, praca nad nim była w ostatnim stadium, gdy przyszedł Wrzesień...

Zarzycki krążył teraz z kamerą filmową po Warszawie, rejestrując życie oblężonego miasta oraz toczące się walki. Część z nakręconych przez niego materiałów stosunkowo szybko dotarła na Zachód i została włączona do filmów ukazujących niemieckie okrucieństwa w Polsce.

„Żołnierz królowej Madagaskaru" znalazł się wśród tych polskich filmów, które Niemcy w latach okupacji dopuścili do rozpowszechniania. Jerzy Zarzycki w premierze filmu jednak nie uczestniczył; był wszak członkiem zbrojnego podziemia i jednym z tych, którzy nawoływali do bojkotu kin. Jak jednak nie obejrzeć swego własnego, debiutanckiego dzieła? Stanął Zarzycki przed nie lada dylematem moralnym... Wspominał po latach Jarosław Iwaszkiewicz, na łamach „Życia Warszawy", ów ważny epizod z życia reżysera: „trudno nam było (zwłaszcza Jerzemu) wyrzec się zobaczenia swego pierwszego filmu pełnometrażowego. Toteż urządziliśmy sobie tajną wyprawę do Żyrardowa i tam, niespostrzeżeni przez nikogo, z ostatniego rzędu balkonu, obejrzeliśmy tego „Żołnierza", po czym cichcem wróciliśmy do Brwinowa".

Nigdy więcej reżyser nie widział już „Żołnierza Królowej Madagaskaru". Jedyna kopia filmu zaginęła tuż po wojnie i nie została odnaleziona.

Tymczasem przez całą okupację Jerzy Zarzycki działał w Armii Krajowej, będąc członkiem kierowanego przez Antoniego Bohdziewicza Referatu Foto-Filmowego przy Biurze Informacji i Propagandy KG AK. Prowadził zajęcia w konspiracyjnej „szkole filmowej", wyjeżdżał z kamerą do leśnych oddziałów partyzanckich. W połowie lipca 1944 r. znalazł się np. w Lasach Parczewskich na Lubelszczyźnie, gdzie miał sfilmować działalność jednego z oddziałów 27 Dywizji AK. Potem wrócił do Warszawy i wziął udział w powstaniu. Znowu jako operator i szef ekipy operatorskiej. Powstańczy film „Warszawa walczy! Przegląd nr 1", którego premiera odbyła się 15 sierpnia 1944 r. w kinie „Palladium" przy akompaniamencie rwących się wokoło bomb i pocisków, był wspólnym reżyserskim dziełem Antoniego Bohdziewicza i Jerzego Zarzyckiego.

Po wyzwoleniu Zarzycki podjął, wraz z innymi kolegami, działalność mającą na celu stworzenie na nowo polskiej kinematografii. Ale... Jak nie miał szczęścia do swych filmów przed wojną, tak i teraz... O perypetiach scenariusza ambitnego filmu o Powstaniu Warszawskim — „Robinson warszawski", którego autorem byli Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz i Jerzy Zarzycki można by napisać cały osobny artykuł. Tak samo — o trudnościach i ciągłym wtrącaniu się różnych „czynników" do realizowanego w 1950 r. przez Zarzyckiego „Miasta nieufarzmionego" (taki był ostateczny tytuł „Robinsona warszawskiego"). Wreszcie „rozprawił się" z tym filmem Włodzimierz Sokorski, pisząc w recenzji, że „Miasto nieufarzmione" w wyniku „nieprzezwyciężenia do końca tendencji nacjonalistyczno-prawicowych" przedstawia „fałszywą koncepcję solidaryzmu narodowego i mieszczańskiego pseudohumanizmu".

Że po takich stwierdzeniach Zarzycki ostał się wówczas w szeregach polskiej kinematografii — graniczy niemal z cudem. Wiecej, udało mu się w cztery lata później zrealizować „Ucztę Baltazara" według powieści Tadeusza Brezy. W 1955 r., gdy powstawały zespoły filmowe, Jerzy Zarzycki został kierownikiem artystycznym Zespołu „Syrena".

Wtedy to zaczęła go nurtować myśl przeniesienia raz jeszcze na ekran „Żołnierza Królowej Madagaskaru", już z wykorzystaniem wszystkich możliwości technicznych i finansowych, jakie zapewniał mecenat państwowy. Premiera obrazu odbyła się w roku 1958. W filmie, podobnie jak przed wojną, grali doskonali, wypróbowani artyści: Irena Kwiatkowska, Tadeusz Fijewski (mecenas Mazurkiewicz), Andrzej Szczepkowski oraz para młodziutkich, doskonale zapowiadających się aktorów: Barbara Kwiatkowska i Ignacy Gogolewski.

Niestety, film był przeciętny. W pracy reżysera przeważyła nuta nostalgii do tamtego, niespełnionego ostatecznie, przedwojennego dzieła. „Żołnierz" nie potrafił się oderwać od niegdysiejszej stylistyki, raził zbytnią statycznością kamery, „teatralnością", faktem, że był kręcony w większości w atelier, w sztucznych dekoracjach... Tymczasem nowe polskie kino stawiało już pierwsze mocne kroki: w 1955 r. powstało „Pokolenie" Andrzeja Wajdy i „Błękitny Krzyż" Andrzeja Munka. Było już po „Celulozie" Jerzego Kawalerowicza i „Godzinach nadziei" Stanisława Różewicza. Po „Kanale" i „Popiele i diamencie" Wajdy. Język filmowy wkroczył na zupełnie nowe tory i musiały mu podlegać nie tylko filmy polityczne, ale również farsa czy komedia filmowa.

Ale ludzie na „Żołnierzu Królowej Madagaskaru" bawili się. Bo był to czas, gdy naród miał za sobą okres ciężkich doświadczeń i łatwo dawał „taryfę ulgową" także filmom mniej udanym, ale wesołym, pełnym ruchu i życia. Niewątpliwie była to dla Jerzego Zarzyckiego satysfakcja. Ale czy pełna?

M. D.

Patrz Matejko na nich z nieba...

Dokończenie ze str. 1

biliśmy, a poniektórzy lisowczycy mogliby za wzór służyć współczesnym najemnikom w rodzaju Kongo-Müllera.

W wiadomych kręgach o Matejce mówi się dziś lepiej — może od momentu, kiedy w sztuce znów pojawiły się znaki, a semiotykę zaprzęgnięto do badania malarstwa. Rzadko jednak potrąca się przy tym o sytuację materialną artysty i źródła jego dochodów, pomijając fakty, które powinny interesować naszych plastyków. Przypomnijmy więc krótko, że Matejko osiągnął taki prestiż społeczny — ludowy i urzędowy — oraz stopień zamożności, o jakim nie śnił żaden z polskich artystów przed- i po nim. A na tym wysokim poziomie materialnej prosperity utrzymywał się głównie z honorariów za portrety prominentów galicyjskiej arystokracji, w środowisku krakowskim w Rzym zapatrzonej (choć królował tam człowiek nieczuły na polskie marzenia o niepodległości) oraz zdecydowanie niechętnej idei powstań narodowych, które z kolei większość współczesnych rodaków uznaje za wzór patriotycznego działania. Niemały przecież dochód przyniosły też Matejce niektóre jego płótna historyczne, dziś należące do kanonu narodowej ikonografii. Wystawionego w Paryżu „Rejtana", na przykład, zechciał kupić, za wielką kwotę 50 tys. franków, sam cesarz Franciszek Józef: zaborca bezwzględny, dopiero z czasem łaskawszy.

W polskiej świadomości zbiorowej Matejko istnieje jednak tylko jako twórca „Bitwy pod Grunwaldem", „Kazania Skargi" (zakupionego przez hr. Maurycego Potockiego z Zatora za oszałamiającą sumę 10 tys. zł reńskich), „Unii Lubelskiej" i tym podobnych obrazów, które podtrzymywały, obiektywnie rzecz biorąc, naszą godność i poczucie tożsamości narodowej. Orientacje polityczne jego mecenasów i finansowe kulisy statusu artysty niejago wypadły ze zmitologizowanego portretu Matejki, nad czym osobiście nie ubolewam, choć o tym wszystkim pamiętać warto.

Obecnie zamiast arystokracji mamy plutokrację, miłującą głównie sztukę robienia pieniędzy, a w miejsce przygotowane do wzniesienia „drugiej Polski" (była też mowa o „drugim Zakopanem") nie dotarła nawet „druga Japonia". Na Lubelszczyźnie jedynym trwałym śladem japońskiego stylu myślenia jest metalowa rzeźba pana Jo Ody, postawiona w 1966 roku przed budynkiem dyrekcji puławskich Zakładów Azotowych, w ramach sympozjum artystów i naukowców, które z przejęciem współorganizował dyrektor Mieczysław Kołodziej, za co, jak mówią, zesłano go do RWPG.

Mamy zatem kryzys, który mocno daje się we znaki i plastykom, szczególnie tym, którzy nie pracują na etatach, nie szyją kiecek, nie hodują królików lub czarnych porzeczek, nie malują świętych obrazów (honorarium z ręki do ręki, bez zbędnych ceregieli).

Zarazem pokaźna część środowiska nie chce wystawiać i w ogóle boczy się na władze z powodów, jak twierdzi, patriotycznych. Mamy tu więc do czynienia z klinicznym przykładem kompensacji, jako że w obrębie samej twórczości wątki narodowe czy obywatelskie przewijały się dotąd, od Października '56, strumyczkiem tak wąskim, jak wyobrażenie Savonaroli o tolerancji. Co prawda aktywista Leonard, jako jeden z nielicznych, wabił nasze uczucia widokami biało-czerwonej, ale i on wyjechał w końcu na Zachód, tyle że do miasta oddalonego znacznie od Hotelu Lambert.

W tej sytuacji państwo, konkretnie: Ministerstwo Kultury i Sztuki — jedyny cywilny mecenas twórczości artystycznej w kraju dnia dzisiejszego — zamiast systemu wyrafinowanych represji oferuje plastykom fundusz stypendialny w wysokości 35 mln zł, 15 milionów z tej sumy zdobywając dodatkowo, „poza planem", bo potrzeby środowiska, określone w podaniach kierowanych do resortu, przewyższyły pierwotnie ustaloną kwotę. Inaczej mówiąc: w 1982 roku stypendia twórcze, a o takie tu chodzi, otrzymali wszyscy malarze, graficy, rzeźbiarze, architekci wnętrz, konserwatorzy, scenografowie, fotograficy i przedstawiciele tzw. innych mediów, którzy nadesławszy wnioski do ministerstwa, rzeczowo je uzasadnili. Ogółem, stypendia przekazano ponad 600 artystom; większość otrzymała je na okres roczny i półroczny, ale były też dwuletnie. Ustalono przy tym, że na jeden miesiąc przypada 8000 zł.

Ponadto kilkuset osobom, znajdującym się w szczególnie ciężkiej sytuacji materialnej, przyznano zapomogi (w sumie kilka milionów złotych) oraz stypendia o charakterze socjalnym, na które przeznaczono 860 tysięcy ze wspomnianych 35 milionów.

Powstaje instytucja stypendiów dla artystów młodych, którzy ukończyli uczelnie w minionych pięciu latach...

Rozdzielono już 60 mln zł z nowo powstałego Funduszu Zamówień Plastycznych, na którego koncie zgromadzono w 1982 roku 250 mln zł. Pozostałość tej kwoty (190 mln zł) nie przepadnie, jak to się dzieje ze środkami budżetowymi, lecz przerzucona zostanie na r. 1983...

Krótko mówiąc: państwo stara się realizować swój obowiązek wobec kultury artystycznej w sposób chyba sprawniejszy, niż można byłoby oczekiwać w latach kryzysu.

Tymczasem na ogólnopolskim Salonie Zimowym w Radomiu, istniejącym od 1945 roku, w styczniu i następnych miesiącach będziemy mogli obejrzeć raptem 52 prace 28 autorów, gdy w minionych latach samych obrazów eksponowano tam setki.

Trudno. Ale i smutno, bo patronem wystawy jest Jacek Malczewski: malarz świetny, mądry, w swej twórczości pochylający się nierzadko nad losem polskim — wychowany przez Jana Matejkę.

Był to felieton o paradoksach nadwiślańskich.

Ireneusz J. Kamiński

ny Skalnego Podhala". Muzyka w balecie została powiązana ze scenografią, tańcem i środkami wykonawczymi proweniencji góralskiej.

* * *

Twórczość Szymanowskiego oznacza przełom w polskiej muzyce XX wieku. Choć zwykło się dzielić ją na etapy, to jednak stanowi ona integralną całość. Utwory powstałe w okresie Polski międzywojennej są bowiem wyrazem przemyśleń i kontynuacją działań kompozytora wcześniej podjętych, których konkluzją stał się *ów* styl narodowy, pojmowany jako cząstka sztuki ogólnoludzkiej. Należy podkreślić, że sam artysta był przeświadczony o polskości wszystkich dzieł swoich. Wszakże w odpowiedzi na inwektywy adwersarzy pisał: „Mogę zwać me utwory *Metopami*, *Maskami* czy *Mitami*, mogą one być złą czy dobrą muzyką, jednak nie ulega wątpliwości, iż były napisane przez Polaka".

Idee i muzyka Szymanowskiego stały się przesłaniem dla polskich kompozytorów. Autor *Stabat Mater* nie pozostawił po sobie szkoły kompozytorskiej. Wszak nie mógł tego uczynić, skoro uczniowie i apologeci mieli realizować jego postulaty i wskazówki ideowe. Stworzył natomiast całą polską muzykę współczesną. Już w czasach Szymanowskiego nikt w środowisku muzycznym nie pozostał obojętny wobec niego. Prowokował swoimi działaniami zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Był motorem zgoła odmiennych realizacji. Jedni z następców poszli drogą inspiracji patriotycznych. Inni — przede wszystkim spod znaku polskiego neoklasycyzmu — nasycili swą twórczość pierwiastkami narodowymi i preferowali muzykę „czystą" o prostej fakturze oraz precyzyjnej konstrukcji formalnej. Powinnością tego pokolenia było odbudować tradycje Szymanowskiego w czasach Polski Ludowej. Właśnie oni przejęli od autora *Metop* przeświadczenie o wysokiej randze metiér kompozytorskiego, opartego na znajomości najnowszych osiągnięć technicznych, a także rezultat opanowania rzemiosła — umiejętność korzystania z inspiracji ludowej.

Promotor stylu narodowego pozostawił muzykom polskim jako dziedzictwo przekonanie o ich równoważności w stosunku do awangardy światowej; pozostawił też świadomość, że wielką sztukę kreować można jedynie w ścisłym związku z ogólnoludzkim dorobkiem artystycznym.

Mieczysława Demska-Trębaczowa

Jak zabijać siebie?

Istvan Grabowski

PROPOZYCJA mego spotkania się z członkami Oddziału Zamkniętego w hotelu „Unia" przyjęta została przez muzyków z zaskoczeniem. „Skąd, dlaczego my?" Grupa nie jest jeszcze w pełnym blasku sławy. Nie otacza jej rój wielbicielek, nie nachodzą dziennikarze. Do tej pory muzycy nie udzielili jeszcze żadnego wywiadu. Nie czuli takiej potrzeby. Ale i bez reklamy, na koncertach Oddziału zdarza się zbiorowe szaleństwo. Przychodzą na nie głównie „małolaty", dla których piosenki warszawskiego zespołu są objawieniem świeżej, jeszcze nie komercyjnej fali rocka.

Rozmowa z członkami zespołu wyraźnie się nie klei. Odpowiadają na pytania monosylabami, cedzą słowa, bez „szpanowania" na intelektualistów. Są prości, bezpośredni. O muzyce inspirującej ich poczynania mogą powiedzieć niewiele. Słuchają dużo, głównie nowej fali i starych dobrych Rolling Stonesów, co nie koniecznie musi znaleźć odbicie w ich kompozycjach. Nie zapisują pomysłów z sufitu, lecz konkretne, utrwalone pod wpływem emocji obserwacje. Ich autor tekstów Krzysztof Jaryczewski, ma dopiero 22 lata, ale umie krytycznie spoglądać na rówieśników.

Z pomysłem stworzenia zespołu, który grałby inaczej od reklamowanych w telewizji gwiazd, nosili się od dawna. Umieli jednak niewiele. Nie mieli też środków na profesjonalną aparaturę. Dwa lata temu dojrzała w nich myśl wspólnego grania. W jednym z warszawskich domów kultury zadebiutowali we czterech: Krzysztof Jaryczewski — śpiew, Wojciech Łuczaj-Pogorzelski — gitara, Paweł Mścisławski — gitara basowa i Jarosław Szlagowski — perkusja. Początkowo była to czysta improwizacja. Chłopcy „motali się" w różnych pomysłach, nie wiedzieli, jaką drogę wybrać, co zagrać dla przeciwwagi Kombi, Exodusu i Krzaka. Każdy miał własną wizję, która jakoś nie pasowała do wspólnej koncepcji. Kiedy nadarzyła się więc okazja występów z „Pastorem" Buldeskim, trzech muzyków pożegnało barwy Oddziału. Później związali się na krótko z efemeryczną grupą Martyny Jakubowicz. Nadzieje na zrobienie kariery nie ziściły się.

Po wyjeździe „Pastora" do Australii odżyła chęć reaktywowania Oddziału Zamkniętego w poprzednim kształcie. Teraz było już łatwiej. Opieka ze strony stołecznej Rock Estrady pozwoliła na przygotowanie nowego programu i pierwsze nagrania radiowe rejestrowane w Szczecinie. Fachowcy zachwycali się świeżością brzmienia. Nie brak też było i słów krytyki. Wytykano zespołowi błędy muzyczne i językowe. Naśmiewano się z młodzieńczej naiwności patrzenia na świat. Natomiast reakcja młodzieży była jednoznacznie aprobująca, ba, wręcz entuzjastyczna. W listach kierowanych do zespołu (a przychodzą ich setki) przeważały zachwyty, podziękowania, słowa otuchy i gorące prośby o zachowanie autentyczności.

Tym spragnionym muzyki nastolatkom Oddział Zamknięty jawi się jako wyjątkowe zjawisko pop-kultury. O problemach i kłopotach nastolatków mówia ich rówieśnicy. Prosto i otwarcie. Tekstów piosenek nie pisze czterdziestoletni fachowiec od zaiksowskich tantiem, ale młodszy o całe pokolenie entuzjasta rocka. Jego słownictwo i poglądy, choć momentami może śmieszne i kalekie, są nastolatkom po prostu bliskie, trafiające do przekonania:

Kiedy światem zacznie rządzić człowiek,
Kiedy matki pokochają dzieci,
Kiedy miłość ludzie puszczą w obieg,
Kiedy spalą już do reszty śmieci,

To poczujesz, poczujesz, poczujesz,
Jak wiele dzieli cię od innych,
Od innych, od innych.

Kiedy w klatkach zamkną całe zło,
Gdy zaświecą na niebiesko słońca,
Kiedy wreszcie ci przypomni ktoś,
Jak to było przed początkiem końca,

To poczujesz, poczujesz... itd.

W tym mini-proteście przeciw szerzącemu się wokół złu odbija się utopijna wiara w szczerość ludzkich intencji i możliwość powrotu do Arkadii. Do spełnienia zaklęcia potrzeba przecież tak niewiele. Matki znów będą kochać swe potomstwo, a postępowaniem ludzi rządzić będzie miłość... W sumie — ucieczka od realnych problemów świata, do których ci młodzi po prostu jeszcze nie dorośli i być może nie chcą dorosnąć. Kontestatorzy epoki kryzysu polskiego.

Rock zespołu jest prosty, dynamiczny, znerwicowany i trochę szalony. Nie ma w nim wydumanej perfekcji aranżacyjnej. Nie wyczuwa się tendencji zabłyśnięcia super-poziomem. Chłopcy grają po swojemu to, co czują. W opinii tysięcy wysłuchujących ich nastolatków „są wspaniali". Muzyka nie ma u nich formy ostatecznie zamkniętej. Ewoluuje wraz ze zmianą zainteresowań i zdolności technicznych członków zespołu. Nie skażony komercją Oddział wygrywa spontanicznością zachowań i umiejętnością dotarcia do szerokiego kręgu nastoletnich odbiorców.

Nawiązując zupełnie świadomie do szpitala leczącego psychicznie chorych, Oddział Zamknięty sięga do tematów tabu, przynajmniej dla estrady. Jest taka sprawa, że popaść w konflikt z otoczeniem, w nałóg narkomanii czy alkoholizmu dosyć łatwo. Zbyt intensywne życie na dużych obrotach, codzienne kłopoty i stressy sprawiają, że sięga się po pierwszą strzykawkę czy tabletkę. Potem już nie ma odwrotu.

Patrzą żyły, skłute mary
Na spróchniałe mózgi, ich ofiary.
Jest ich wszędzie coraz więcej,
Czekam zaplątany w chore ręce.

Jak wygląda ten wasz cudny świat,
Ja to wiem i oni wiedzą jak.
Napiętnowany marzeniami, napiętnowany marzeniami.

Muzycy, sami stroniący od trawy, belta i delirycznych szaleństw, starają się niekiedy odwoływać do rozsądku swych rówieśników, choć nie bez pewnej kokieterii:

Życie jak cytrynę wyciskasz
Z taką siłą, że aż sok tryska.
Muzyka, trawa, wódka, zabawa,
Na głowie stajesz, biją ci brawa.

Jak, jak zabijać siebie,
Jak zabijać siebie,
Powinien wiedzieć każdy.

Wilkiem już patrzą sąsiedzi,
Rodzina coś o pracy bredzi,
Ty jeszcze jedno piwo wypijasz,
Jeszcze jeden orgazm cię zwija.

Jak, jak zabijać siebie...

Właśnie. Jak zabijać siebie? Tylko niby po co?

Z BOCZNEJ LOŻY

Witkacy

Maria Pobóg

MIASTECZKO śliczne, kolorowe, domki małe i duże, a w nich szewczykowie bosi ze starym Sajetanem szyją buty. Znakomita scenografia Jacka Kowalskiego do „Szewców" wystawionych w Teatrze im. J. Osterwy nie jest tłem bajki dla grzecznych dzieci. Przy wejściu na spektakl należy umieścić wywieszkę: „Nieletnim i purytanom wstęp wzbroniony". Natomiast każdy dorosły sapiens może bawić się całą gębą na witkacowskiej „hecy", jeśli odrzuci kompleksy dostojnego teatromana i podda się błyskotliwej psychointelektualnej gimnastyce, jaką proponuje Autor Szalony i reszta, kiedy podda się tekstom i sytuacjom, w których bezustannie kojarzą się ze sobą seks, humor, trywialność i głębia filozoficzna...

Witkacy stawia w swych dziełach pytania zasadnicze, dotyczące człowieka, jego miejsca w świecie, sensu wszelkiego społecznego i historycznego dziania się. Ostatecznie więc z tryskającej dowcipem groteski wyłania się współczesny bohater tragikomiczny, zdeterminowany swym biologizmem, oszukiwany i oszukujący siebie, bez przyszłości.

Szewcy szyją buty. Rzecz w tym, komu je szyją i co z tego wyniknie?

Czy bosonodzy prostaczkowie muszą zaharowywać się aż do „bólu w wątpiach", podczas gdy prokurator Scurwy i samiczkowata rosyjska księżna szukają jedynie ujścia dla swych perwersyjnych skłonności? Czyż na świecie „żadnej sprawiedliwości nie ma i być nie może?"

Wytraczony, dandysowaty Scurwy głosi tezę o społeczeństwie cierpiącym nieuleczalnie na zależność jednych części od drugich. „Czy wy myślicie, że kiedyś będzie inaczej? Nie — zawsze będą dyrektorzy i urzędnicy wyżsi, którzy będą musieli nawet co innego jeść niż majstrzy w fabrykach, bo praca umysłowa wymaga innych składników mózgu — mózgu i jedzenia".

Tymczasem i z prawa i z lewa przewala się historia: radziecka Rosja przybiera realne kształty, a niedawny pracownik murarski łączy już w swym ręku urząd prezydenta i kanclerza Rzeszy. Zagęszcza się atmosfera polityczna w Europie. Czyż szewc Sajetan nie może sięgnąć po władzę w imię sprawiedliwości i rekompensaty społecznej? Mamy wiek XX, wszystko więc zdarzyć się może.

Czerwone światło zalewa scenę; zmieniają się stroje i dekoracje. I oto prokurator Scurwy wyje przykuty łańcuchem, a zaorderowany Sajetan ze swą szewską świtą rezyduje i przyjmuje, bowiem fortuna i polityka kołem się toczą. To oni teraz mają najpiękniejsze tancerki w kraju i na swój sposób „rozwiązują" kwestię chłopską. („Milcz, chamie, bo dam w pysk!") Ale: „Czy to tylko nie złudzenie, że my naprawdę nowe życie tworzymy? Może się tak łudzimy, aby ten komfort właśnie usprawiedliwić. A może rządzą nami siły, których istoty nie znamy? I jesteśmy w ich rękach marionetkami tylko" — dręczy się szewska nowowładza. Czyżby prokurator Scurwy miał rację, realizując się w perwersji? Stary Sajetan poznaje gorycz zwycięstwa, które w ostatecznym rozrachunku okazuje się całkowitą klęską. No i kto tu właściwie rządzi? To nie jest jasne do końca.

Zza sceny dochodzi stukot ołowianych podeszew zautomatyzowanego, pozbawionego genów i gamet Hiper-Robociarza. Przeczucia świty Sajetana okazują się prawdziwe. „Żywy zmechanizowany trup", jak nazywa go Fierdusieńko, jest wysłannikiem tych, którzy rzeczywiście sprawują władzę, („bo te kukły, to komedia ino!"), przynosi ze sobą bombę, „która jest najwybuchliwsza ze wszystkich hoch-explosiv bomb na świecie". Za chwilę zrzuci ją na kotłujący się w dole tłumek. Czy zmiecie ze sceny ten żałosny ludzki nadkabaret, w którym wszystko staje się transcendentnym nieporozumieniem, rokującym nieodwracalną katastrofę? Okazuje się jednak, że to tylko bluff, obliczony na porażenie antyryzykantów na pseudonaczelnych stanowiskach, czyli „symboliczny kawał w dawnym stylu, nudny jak cholera!"

Prawdziwy bowiem katastrofizm, który zagraża ludzkości, to według Witkacego „przeklęty brak idei", „zupełna pustka" w zautomatyzowanym świecie, której nie wypełni ani rozbuchany seksualizm, ani mątewki, „tak smaczne diabelnie z Zatoki Meksykańskiej", ani... kokaina. To niezdolność człowieka-konsumenta do uczuć wyższego rzędu, śmierć wszelkiej metafizyki.

I być może, jak powtarza siwy staruszek w miłoszowej „piosence": „innego końca świata nie będzie / innego końca świata nie będzie".

Mimo tych narzucających się refleksji, publika opuszcza widownię w nastroju pogodnego podniecenia, bowiem w teatrze Witkacego dokonuje się tajemne misterium oczyszczania grzeszników, tych udręczonych koszmarkiem codzienności, która wydaje się być bardziej miałka od tętniącej niepokojącym rytmem życia pornograficzno-katastroficznej wizji prezentowanej w teatrze Osterwy.

Twórcy przedstawienia na czele z reżyserem Wowo Bielickim wnikają płynnie w Witkacego, z prawdziwie teatralnym nerwem. Szczęśliwe pomysły reżyserskie (wędrujący Autor Szalony), dynamika gry aktorskiej, muzyka (Wojciech Trzciński), to wszystko porywa widza. I mimo pewnych niedostatków w warsztacie aktorskim i choreografii (zwłaszcza w grupie kmiotków z „dziwką bosą i chochołem samego pana Wyspiańskiego"), spektakl „Szewców" w teatrze lubelskim można uznać za sukces kulturalny. Trudna „sztuka naukowa w trzech aktach" jest czytelna dla publiczności, dużo daje do myślenia. Oby tak dalej i więcej.

POCZTA LITERACKA

IWONA D. LUBLIN. Jest Pani nauczycielką, nie naucza Pani języka ojczystego, a jednak dostrzega zdolności poetyckie u swojej uczennicy z VII klasy, Agnieszki S. Słusznie Pani postąpiła przesyłając „Kamenie" kilka wierszy na próbę. We wcześniejszej epoce literackiej Agnieszka mogłaby nimi debiutować, dzisiaj jeszcze nie. Postromantyczna nuta, młodopolskie skojarzenia mogą być dla niej przejściowym narzędziem, zapożyczenia wspornikami dla jej wypowiedzi, ale co prędzej powinna się ich wyrzec. Znam zdolnych poetów, których zauroczenie poetyką innych autorów, tak dalece opanowało, iż nie mogą się z tego wyzwolić. Przegrali swoje artystyczne życie, gdyż — mimo talentu — pozostali jedynie wtórni w stosunku do obranych mistrzów, są ich politowania godnymi imitatorami. Agnieszkę czas przed tym ustrzec już teraz. Niech stara się mówić własnym głosem o swoich dziewczęcych i — jak wynika z nadesłanych utworów — patriotycznych uczuciach. Warto się nią opiekować. Za pięć lat być może... Proszę o dalszy kontakt z działem literackim.

PIOTR B. HRUBIESZÓW. Najpierw cytaty z listu: „Piszę z potrzeby, ale nie zniosłbym myśli, że to, co robię jest nic nie warte. Dlatego wolę być nawet słabym poetą, ale nigdy grafomanem. Mam nadzieję, że dostaną odpowiedź na pytanie, po której stronie granicy się znajduję — poezji czy grafomanii. Piszę dosyć dużo. A to absorbuje. Więc muszę coś wiedzieć, żeby nie trwonić się w tym, do czego, być może, nie mam żadnych zdolności."

Ma Pan 19 lat., a pisze od 17 roku życia. Rzeczywiście, dwa lata pisania wymagają oceny. Mam Panu po męsku odpowiedzieć, a nie potrafię. Po grafomańskiej stronie wierszy tych nie widzę, bo ma Pan dar spostrzegania i reporterski niemal krytycyzm. Zdarzają się wcale zgrabne linijki i przenośnie. Równocześnie, mimo że zwierza się Pan:

Ody w sobie rozwijałem,
szukając rymów męczeńską mitręgę,
tego wysiłku dostrzec nie mogę. Spotykam przede wszystkim rymy częstochowskie. One zdają się rządzić Pana piórem, a to niedobrze.

I zagrzmieć
chcesz i nie złożyć broni
i zniszczyć wszystkie stare opony...

No, Panie Piotrze! W takich momentach zawodzi Pana ucho, gdzieś skryte się poczucie piękna. A więc i po poetyckiej stronie granicy Pana na razie tego pisania nie widzę. Niechże Pan pisze jednak dla siebie, widać przecież, że Panu jest to potrzebne.

TJ

„Srebrny nóż w korzeniach myśli"

WSPÓŁCZESNIE — pamiętając, że już w kręgu kultury hellenistycznej istniała świadomość, iż „duch poezji" łączy wszelkie poszukiwania człowieka, jego dążenie do uchwycenia istoty rzeczy — nie kwestionuje się współzależności poezji i filozofii.

W swojej trzeciej książce poetyckiej Waldemar Dras usiłuje filozofować poezję. Wiersze te prowokują do refleksji nad wizją świata, jaką podsuwa autor wyznający starożytną zasadę, iż „poeci nie są niczym więcej, tylko tłumaczami bogów w zachwyceniu" (Platon, „Ion"). Jaki jest ów proponowany przez poetę metafizyczny horyzont naszego tu i teraz, jak rysuje się perspektywa preferowanych przezeń estetycznych wartości? Dalecy od pośpiesznych syntez i proroctw, świadomi, że wszelka interpretacja — jak pisze H. G. Gadamer — jest jednostronna, wywodzi się zawsze z określonego punktu widzenia, który przecież nie może rościć sobie praw do wyłączności, pokuśmy się o rozpoznanie perspektyw intelektualnych tej poezji.

Liryka Drasa, zanurzona w „ciemnym naczyniu życia aż po brzegi", swoją trochę narcystyczną hermetycznością sprawia nieodparte wrażenie gęstości znaczeniowej. Wędrówki po meandrach wykoncypowanych abstrakcji powołują do życia intrygujące poetyckie obrazy, wywołując wielość doświadczeń semantycznych. Niekiedy wydaje się, że ta skrajnie enigmatyczna poezja koncentruje się wokół zagadnień wytrzymałości i granic poetyckiego słowa, a jej potencjał intelektualny funkcjonuje li tylko na zasadzie tła. Samoświadomość autora usprawiedliwia się poniekąd przywołaniem słów H. Michaux jako motta do „Księgi obrazu": „Wygasłeś wszystkie lampy". Poeta zdaje się z premedytacją układać słowa tak, by znaczyły jak najmniej, chcąc jednocześnie wywołać wrażenie metafizycznej głębi poprzez wyszukane metafory ludzkiej psychiki, które próbuje oswajać symbolami—znakami. Jak Baudelaire, żyje w „lesie symboli". Wszystko — dla niego — posiada „drugie dno", jest znamieniem niewątpliwego transcendentu. Autor nie ogranicza się do biernej rejestracji natury zjawisk. Ocenia je wszystkimi warstwami wiersza — językiem, konstrukcją, obrazowaniem, metaforyką. Utwory te mają dość ubogie struktury narracyjne, dominuje w nich konstatacja ocierająca się czasem o granice banału: „Obudzony /Nie mylił się/ Nigdy"; „Dopóki trwają mosty/ Każdy może wrócić" etc. Dras dzięki sprozaizowaniu języka szuka kontaktu, porozumienia z odbiorcą. Posuwa się nawet dalej, uzależniając swoją twórczość od wyobraźni samego czytelnika, który ma możliwość „współtworzenia" wierszy. Sprzyja temu bardzo malarskie myślenie, umiejętne operowanie zaskakującą opozycją kolorów — „Upoważnienie muzyki", „Księga obrazu".

Niezwykle trudno przypisać autorowi określonych antenatów. I choć wychwytujemy tu echa Chara i Norwida, to poeta typem wyobraźni najbardziej przypomina — toutes proportions gardes — Micińskiego. Widoczne jest też urzeczenie twórczością Rimbaude'a: „gdzie czeka ktoś inny / Niż ja" to wyraźna trawestacja słynnego — „Ja, to ktoś inny". Wskazując na inspirację, zwróćmy ponadto uwagę na inklinacje biblijne: wyczuwalny rytm narracji starotestamentowej, charakterystyczne środki stylistyczne zauważalne już były w drugim tomiku Drasa „Nad stawem jasnowidzenia" (1979 r. — „Dziewięć pieśni z doliny Józafata" czy też „Dolina Józafata"). I gdy czytamy: „sto wiatrów przy jej głowie, sto podejrzanych westchnień" (niemalże kalka z „Pieśni nad Pieśniami") oraz: „Ale tam, na horyzoncie, nikt nie jest tak piękny, jak ten, który nadciąga ze Skał. Oto widzi teraz i słyszy, i potrafi obudzić biegnące ci na spotkanie zwierzęta — ptaki. Jego usta, ach, jego usta — zaklęcia, nie wypowiadają jego myśli, nie błądzą nad żadnym czołem drżącym — on jeden bowiem nie narodził się po to" (konglomerat „Księgi Psalmów", „Pieśni nad Pieśniami" oraz „Ksiąg Mądrości") — fascynacja Biblią jest ewidentna.

Rzeczą poety jest dochowanie wiary światu widzialnemu. Drasowi nie w pełni się to jeszcze udaje, jego wiersze są próbą zapisu swoistej sytuacji, w jakiej egzystuje jednostka o wrażliwości, wyobraźni, tęsknotach nie mieszczących się w „statystycznym" etosie współczesnego człowieka. Ale w pustoszonym przez abstrakcję świecie odbiorca ma prawo oczekiwać nie tylko „literackości" i „metafizyki", ale i Mądrości. Nie przeczy to oczywiście potędze wyobraźni. Albowiem w przeciwieństwie do rozumu będącego tylko potęgą poznawczą — fantazja jest siłą twórczą, dzięki której myśl zjawia się w bycie i możliwe jest istnienie tak świata, jak człowieka. Niech więc:

Wysoki staw
paruje nieustannie

(J. A. Rimbaud)

Marek T. Barański

Waldemar Dras: Wyspa, kij; Wydawnictwo Lubelskie, 1982.

Rys. Józef Tarłowski

KRZYŻÓWKA NR 5

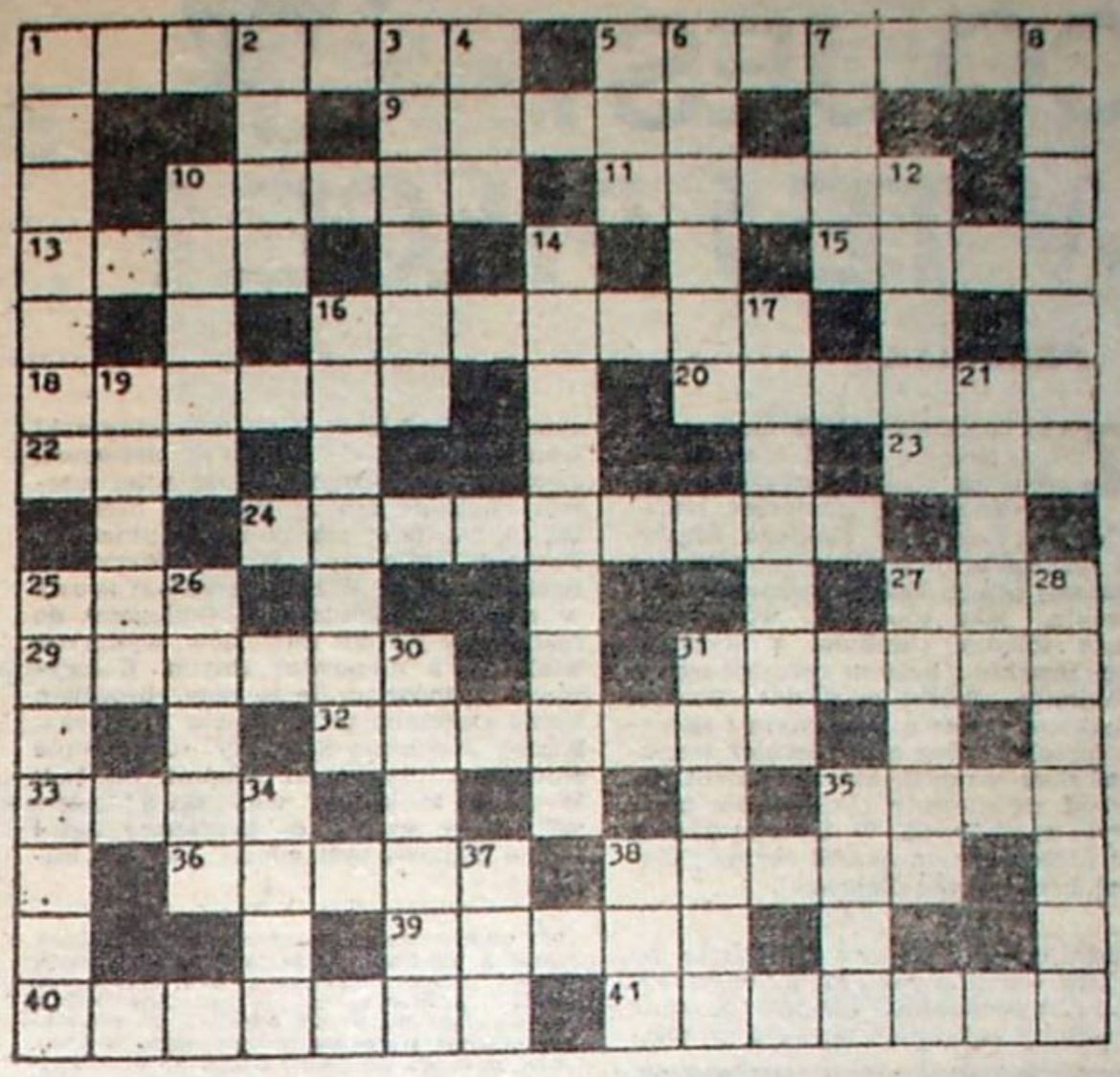

Poziomo: 1. świąteczny placek ludowy, 5. pisarz polski XIX wieku, autor m.in. komedii „Grube ryby", 9. współczesna pisarka francuska, której najpopularniejszą powieść przypomniała ostatnio telewizja, 10. słaby napój alkoholowy na gorąco, 11. miejsce klęski Francji w 1870 r., 13. korek do beczki, 15. górskie łąki, 16. garderoba, 18. śliwka używana na podkład przy szczepieniu węgierki, 20. chodzili w nich bajkowi królowie, 22. wykonawca wyroku śmierci, 23. imię Sowizdrzała, 24. pisarz, autor eseji wydanych w formie książkowej na temat historii Polski od Piastów do rozbiorów, 25. dwadzieścia jeden, 27. derka, 29. stolica Omanu, 31. wiosenny grzyb, 32. cukier gronowy, 33. Persja, 35. szczyt odchodzącego od Turbacza pasma Gorców, 36. przywódca socjalistów włoskich, 38. lasso, 39. rezultat, 40. kwiat wiosenny, 41. poeta rosyjski, dekabrysta, którego wspomina Mickiewicz w Ustępie III części Dziadów.

Pionowo: 1. bohaterski pisarz i pedagog polski żydowskiego pochodzenia, który poszedł na śmierć razem z dziećmi z jego zakładu, 2. rów bojowy, 3. wyrzekanie się przyjemności z pobudek religijnych, 4. budowla piętrząca wodę w rzece, 5. głos męski, 6. niedokrwistość, 7. stan w USA, 8. głuptak, 10. zapotrzebowanie, 12. agresja, atak, 14. współczesny pisarz, którego opowiadania często zamieszcza „Przekrój", 16. warzywo, którego młode pędy są najdroższym z warzyw, 17. pustynia w płn. Chile, 19. bohater „Dożywocia" Fredry, 21. zjazd duchowieństwa, 25. konny pojazd wieloosobowy, 26. bard szkocki, autor celtyckich poematów, 27. skazał Antygonę na śmierć, 28. popularny pisarz rosyjski, autor „Wiśniowego sadu", 30. związek tlenu z innym pierwiastkiem, 31. krótkie letnie spodnie, 34. przepływa przez Leningrad, 35. romantyczne lasy, 37. miedzy DKW a Trabantem lub enerdowska ciężarówka, 38. anglosaska miara powierzchni.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 221 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3

Poziomo: Jasnorzewska, ospa, moc, uskok, depo, hurt, Singer, architekt, gród, Negri, Ordon, Alpy, dyskrecja, Lenino, ruda, yeti, Osowa, tom, Iafo, Iwaszkiewicz.

Pionowo: Galsworthy, norki, szlagier, Kwadrat, samochód, loch, opór, osadnik, ule, Tanatos, Kasprowicz, Giedymin, Rudnicki, Kalipso, sad, Noteć, uran, atom.

Nagrodę wylosował Bohdan Bieńkowski, 20-325 Lublin, ul. Droga Męczenników Majdanka 13.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Oscar Wilde na pytanie swego synka, czy miewa czasem sny, powiedział: — Ależ tak, kochanie, każdy dżentelmen miewa sny, to jego święty obowiązek!

◆

Aktor francuski Huguenet odznaczał się niezwykłą skromnością. Był pod tym względem zupełnym kontrastem Mounet-Sully'ego. Kiedyś, pragnąc przypodobać się swemu znakomitemu koledze, zawiadomił go, że jest do nabycia zegarek Talmy.

Mounet-Sully spojrzał zdziwiony i rzekł:

— Zegarek Talmy? Na cóż mi? Mam własny.

◆

Ludwik XIV zaszczycił panią de Sevigné tańcem. Zachwycona partnerka oświadczyła, że król jest niezwykłym człowiekiem i że sława jego zaćmi panowanie poprzedników.

— Pani — słysząc to powiedział Bussy — nikt nie ośmieli się o tym wątpić, przecież tańczył z panią.

◆

Benoit skarżył się w pewnym towarzystwie na ataki prasy. Na to Paweł Bourget:

— Drogi przyjacielu, dopiero wtedy poczułem się sławny, kiedy przestałem czytać gazety.

◆

Verlaine odznaczał się wielkim zaniedbaniem w ubiorze. Kiedyś zwrócono mu uwagę, że mógłby nieco częściej czyścić sobie odzienie. Na to Verlaine:

— Nie jestem swoim lokajem.

Wybrał: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz Ś. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Szepień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obiosa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 16—18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 536-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 38631. Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Kołodowskiej 2/3.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 215-69, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-39.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 221 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1407. 7.IX.1982 r. B-4.

Jan Tomaszewski **(3)**

CO JEST W TEJ PIŁCE ?

„DREWNIAK"

ZAINTERESOWANIE moją osobą i pewien wokół niej szum, kiedy po sześciu meczach w lidze terenowej juniorów trafiłem do reprezentacji Dolnego Śląska, były bardzo miłe i silnie motywujące do dalszej pracy. Dobrze pamiętam rywalizację, jaką toczyłem wówczas o miejsce między słupkami z Ryśkiem Szwarczewskim, bratem ówczesnego reprezentanta Polski w skoku wzwyż, chłopakiem szalenie sprawnym i skocznym (przez pewien czas również trenującym skok wzwyż), którego talent nie rozwinął się niestety tak, jak się można było spodziewać. W tej rywalizacji znów nieocenionym okazał się mój cioteczny brat Leszek Zalewski.

Kiedy miałem zajęcia w szkole po południu, on rano zabierał mnie na boisko i indywidualnie ćwiczył ze mną interwencje w bramce, wyjścia do piłki

Codziennie rano...

Fot. Cezary Krupa

na przedpolu, obronę przy stałych fragmentach gry (rzutach karnych, wolnych, kornerach). Stosunkowo mniej było „ogólno-rozwojówki", co później zresztą wylazło mi bokiem, ale potrzeby drużyny były, jakie były, i chodziło przede wszystkim o maksymalnie szybkie przygotowanie mnie do gry w drużynie seniorów. Leszek tego nie ukrywał, dobrze wiedząc, że będę „gryzł" trawę, żeby do składu trafić. Tak też się zresztą stało. W 1964 roku zacząłem regularnie łapać w pierwszym składzie „Gwardii". Brat — świadom, jak myślę, ograniczonych możliwości rozwojowych, jakie stwarzał klub A-klasowy — skontaktował mnie z trenerem „Śląska" Władysławem Giergielem. Okazało się, że Giergiel już gdzieś mnie widział i bez kłopotu zgodził się, abym ćwiczył z bramkarzami jego drużyny, bez żadnych zobowiązań co do ewentualnej zmiany barw klubowych. Znali się po prostu z Leszkiem od wielu lat i była to dla nich przysługa koleżeńska. Normalka. Dziś, kiedy na to patrzę z pozycji tych dwudziestu lat na boisku, trudno w coś takiego uwierzyć. Kto by komu na to teraz pozwolił? Dziś, kiedy nawet „tajne" są treningi niektórych drużyn. No, ale to taka dygresja...

Dochodziłem więc rano na treningi „Śląska" i ćwiczyłem z Maselim, Musiolikiem i Dragą. Starałem się podpatrywać zwłaszcza Klausa Maselego, zaliczanego wtedy do czołówki polskich bramkarzy. Ani przypuszczałem, że kiedyś „wysadzę" go z pierwszego składu wrocławskich wojskowych. Oprócz zajęć specjalistycznych, typowo bramkarskich, „zaliczałem" także normalny cykl treningowy, jaki Giergiel serwował swoim podopiecznym. I tu z kolei miałem cholerną frajdę, ćwicząc razem z takimi facetami jak Śpiewok, Stachuła, Zygierd, młodszy Blaut, Krzywoń. Rzecz jasna, te wspólne treningi urosły w moich opowiadaniach (kolegom) do rozmiarów jakichś misteriów, wydarzeń wielkich, a niepowtarzalnych. Koloryzowałem mówiąc, ile to razy obroniłem karne strzelane przez Pawła Śpiewoka, bomby Joachima Stachuły itd. Kumple słuchali z otwartymi gębami, bo cały Wrocław kibicował wówczas „Śląskowi", który wszedł do pierwszej ligi i ludzie ciekawi byli wieści zza tzw. kulis.

W zdecydowanej większości przypadków kontakty miałem z tą plejadą dolnośląskiego futbolu dobre koleżeńskie a z niektórymi nawet — powiedziałbym — serdeczne. Nigdy, na przykład, Maseli nie odmówił mi pokazania jakiegoś szczegółu technicznego, chwytu, kiedy o to go prosiłem. Niestety, w dzisiejszych czasach o taką bezinteresowność już trudniej. W sumie to wspólne treningi z wojskowymi bardzo dużo mi dały i procentowały w meczach mojego klubu.

Po rocznym pobycie w A-klasie „Gwardia" awansowała z dużą przewagą do ligi okręgowej. Z meczy A-klasowych żaden nie zapadł mi szczególnie w pamięć. Grało się w tej „lidze" bardzo ostro i brutalnie, ze względu głównie na kiepskie zaawansowanie techniczne. Liczyła się przede wszystkim siła fizyczna i potężny kop. Występy kończyły się dla mnie często poturbowaniem, bo po początkowym lekceważeniu mnie („taki gówniarz"), kiedy okazywało się, że trochę jednak łapię, zaczynało się polowanie na mnie. Dochodziło do tego przeważnie w sytuacjach podbramkowych, kiedy stosunkowo łatwo można było, jak sędzia nie patrzył, skoczyć na nogi, kopnąć kolanem w nerki, czy brzuch, walnąć łokciem w twarz itd. Ten repretuar niewiele się zresztą zmienił w niższych klasach do dziś. Połapałem się dość szybko w tych „zawodach" i starałem się unikać bliższych kontaktów, a jak trzeba — również odpowiednio „wypłacić" Po meczach wracałem zwykle pokopany i potłuczony, ale i zadowolony i z siebie, i z wyniku. Mama oglądając moje siniaki — mniej jakby... Ojciec wypowiadał się rzadko, ale jak już to robił, to bardzo wyraźnie i dosadnie.

— *Skończ z tą kopaniną, do jasnej cholery, albo ja z nią skończę...* — mawiał, a ja nie oponowałem, nie komentowałem, nie przerywałem, bo tak było najbezpieczniej.

Po awansie do „okręgówki" ambicje działaczy „Gwardii" wzrosły bardzo, a i na meczach mieliśmy coraz więcej widzów. Bywało nawet po trzy tysiące. W pierwszym sezonie nie udało nam się pójść wyżej, czyli do ligi międzywojewódzkiej, zwanej także III ligą. Po tym sezonie drużynę objął nowy trener — Zbigniew Zbyszewski, szkoleniowiec z uprawnieniami I klasy. Po rzetelnie przepracowanej zimie i korektach składu zaczęło nam iść dużo lepiej. Ostatecznie po dramatycznej końcówce zajęliśmy pierwsze miejsce, zdobywając 42 punkty (w 30 meczach). Drugi w tabeli BKS Bolesławiec wyprzedziliśmy jedynie korzystniejszą różnicą bramek 50:22 (+28), podczas gdy BKS miał — bodaj — rezultat o sześć trafień gorszy. W bezpośrednich pojedynkach też byliśmy lepsi, ale to się wówczas nie liczyło. Trzeba było grać baraż na neutralnym terenie.

Doszło do tego 9 lipca 1967 roku w Bielawie. Pogoda była fatalna. Zimno (chyba tylko 9°C) i ciągły deszcz. Gorąco było natomiast na boisku. Bez przerwy dochodziło do ostrych starć, ktoś się przewracał, ktoś do kogoś miał pretensje, ktoś domagał się sprawiedliwości od sędziego (nazywał się — do dziś pamiętam — p. Maska). Broniłem w tym meczu z nieprawdopodobnym wyczuciem i w sytuacjach prawie beznadziejnych. Na dziesięć minut do końca odbiłem na róg potężny wolej z 6—7 metrów, podobny do strzału Clarke'a na Wembley. Ostatecznie po 90 minutach był remis 0:0 i sędzia zarządził dogrywkę (2 × 15 minut). Mimo ataków BKS-u udało nam się dojechać do końca z remisem. W ciągu tej półgodziny obroniłem chyba pięć strzałów, które zwykle kończyły się „siatką". Remis nas urządzał, bowiem nie strzelało się wtedy „jedenastek", a decydowało miejsce w tabeli. Nie muszę opisywać, że całą „Gwardię" ogarnął amok radości i że tacy gracze jak: Zbyszek Malinowski (napastnik), czy obrońcy Rysiek Kulczycki i Włodek Szmidt, no i „małolat" Tomaszewski stali się klubowymi bohaterami. To było coś, zważywszy, że „Gwardia" Wrocław miała wtedy znanych bokserów walczących w I lidze, siatkarki i siatkarzy również w ekstraklasie, dobrych koszykarzy, lekkoatletów. Sekcja piłkarska była najmłodsza, bo powstała dopiero w 1962 roku. Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że mogłem uczestniczyć w jej ówczesnych sukcesach. Gazety przypisywały je nawet w największej części mnie, co naturalnie było bardzo miłe. Wszystkie takie wycinki skrzętnie zbierałem. Wklejałem je do zeszytu, a niektóre, te najbardziej pochlebne, nosiłem ze sobą, w legitymacji szkolnej, żeby („w razie czego") móc pokazać, z kim się ma do czynienia. Nie wstydzę się tego i mówię o tym zawsze szczerze. I nie wierzcie w te bajery, że są piłkarze, którym na prasie nie zależy. Zależy dokładnie wszystkim, tylko że niektórym uważającym się za gwiazdorów śmieszna duma własna i „szpan" nie pozwalają na ujawnienie takich „słabości". Wielokrotnie na zgrupowaniach chłopaki prześcigali się, żeby jak najprędzej kupić „Przegląd Sportowy", w którym miało się znaleźć sprawozdanie z najgłupszego nawet sparingu. Po co? Ano po to, żeby przeczytać, co też o nich piszą. Jest to, jak myślę, „choroba" wszystkich zawodów wystawionych na widok publiczny. Rozmawiałem o tym z wieloma aktorami, i potwierdzali... No, ale to tak na marginesie.

Po wejściu do III ligi „Gwardia" zaczęła trenować na bocznym boisku wrocławskiego Stadionu Olimpijskiego. Na płycie głównej ćwiczył oczywiście „Śląsk", prowadzony już przez Franciszka Głowackiego. Ja wówczas trenowałem już tylko ze swoją drużyną, bowiem z dobrego serca trenera Giergiela korzystałem chyba niespełna rok. Głowacki rozgrywał bardzo dużo sparingów, w tym najwięcej oczywiście z nami, bo byliśmy pod ręką. Kończyło się to wynikami 8:1, 9:2, 6:0 itd. Różnica między ekstraklasą a III ligą była przeogromna. Wiązało się to zresztą z treningiem. Wojskowi ćwiczyli codziennie (niekiedy nawet dwukrotnie w ciągu dnia), a my trzy razy w tygodniu, wyjątkowo tylko — cztery. Wyniki te mówią same za siebie. Jeśli ktoś wygrywa różnicą ośmiu goli, to jasna sprawa, że siedzi na połowie przeciwnika i bramkarz ma zajęcie. Tak też było i w naszych sparingach. Strzelali ósemkę, ale ja broniłem szesnaście strzałów. W tym wiele takich, co powinny lądować w siatce. Trener Głowacki to widział i wielokrotnie po meczach gratulował mi interwencji. Dopytywał się też, kiedy kończę technikum. Tak się składało, że akurat kończyłem...

Jan Tomaszewski w trzecioligowej „Gwardii" (dół, trzeci z prawej)

Fot. Grzegorz Kurzajczyk

Z tamtego okresu chciałbym wspomnieć o pewnym fakcie, który zaważył w znacznej mierze na moich losach piłkarskich. Otóż latem 1963 roku graliśmy mecz chyba z Katowicami w ramach Pucharu Michałowicza. Przeciwnik był nieco lepszy i wygrał 2:1. Ja broniłem przyzwoicie, choć bez jakiejś specjalnej finezji. Zresztą mecz był taki, że nie miałem specjalnych okazji do wykazania się. Puściłem gole nie do obronienia i nikt do mnie nie miał żadnych pretensji, trener Stanisław Tymowicz nawet mnie pochwalił. Okazało się, że na meczu był także trener ówczesnej kadry narodowej, Ryszard Koncewicz. Po spotkaniu w szerszym gronie trenerów i działaczy powiedział: *Ten Tomaszewski to nawet ma niezłe warunki, ale straszny z niego „drewniak" i bramkarza z niego nie będzie...* Opinia ta doszła do mnie i dosłownie ścięła mnie z nóg. Przez kilka dni nie mogłem sobie poradzić, bo trenera Koncewicza ceniłem bardzo i taka ocena w jego ustach miała swoją wagę i wymowę. Postanowiłem pokazać, że się jednak myli, i rzuciłem się do treningu dosłownie jak głupi. Leszek Zalewski musiał mnie wtedy hamować, bo moje pomysły groziły po prostu przeciążeniem młodego organizmu. Słowa Koncewicza przez wiele lat mnie prześladowały i marzyłem, aby kiedyś nastąpił taki dzień, kiedy mu je przypomnę i powiem: *No i co panie trenerze? Drewniak?* Taki dzień przyszedł, ale do tego dojdziemy później.

Oprócz normalnej ligi grałem także w reprezentacji juniorów Dolnego Śląska i tam także starałem się uczyć, ile mogłem najwięcej. W tej właśnie drużynie poznałem Leszka Cmikiewicza, starszego o dwa lata lidera zespołu. Stąd wzięła się nasza późniejsza przyjaźń i na boisku, i poza nim.

Któregoś razu, krótko po otrzymaniu przeze mnie dyplomu technika-elektronika, Franciszek Głowacki powiedział po sparingu, że chce mnie mieć i w „Śląsku", i przedtem w wojsku, co w klubach wojskowych jest zwykłą koleją rzeczy. Stanęła przede mną alternatywa: czy się uczyć dalej, czy wybrać wojsko i piłkę?

Oczywiście, wiele argumentów było za dalszą nauką. Bardzo tego chcieli rodzice, namawiali koledzy. Zdawałem sobie jednak sprawę, że ewentualne studia politechniczne zajmować mi będą tyle czasu, że albo będę zawalać treningi, albo naukę. Na rezygnację z piłki nie myślałem się godzić. W końcu po kilkudniowej walce z samym sobą powiedziałem, że lepiej być dobrym bramkarzem (na co są niejakie widoki), niż kiepskim bramkarzem i kiepskim inżynierem, albo średnim inżynierem (bo na wybitne osiągnięcia w elektronice raczej mi się nie zanosiło). W konsekwencji postanowiłem iść do „woja". W tej decyzji było — jak to dziś widzę — więcej chłodnej kalkulacji, niż emocji, miłości do piłki czy czegoś takiego. Choć moja siostra twierdzi coś zupełnie odwrotnego. Chciera wiej? Może taktycznie dorabiam ideologię do rzeczy prostych i banalnych? Tak więc w październiku 1967 roku zgolono mi włosy, wyfasowano mundur (z czym były trudności ze względu na wzrost) i umieszczono w jednostce wojskowej.

W „Gwardii" pomysł odejścia najlepszego zawodnika przyjęto bardzo sceptycznie, bo szykowano się na... II ligę i nawet już w to uwierzono. Byłem jednak uparty, bo jak się raz decydowałem na to granie, to chciałem grać wśród najlepszych. Kluby początkowo nie bardzo mogły osiągnąć porozumienie i po pertraktacjach doszły do kompromisu. Do wojska szedłem, ale do końca pierwsze rundy grałem w „Gwardii", a wraz z ostatnim gwizdkiem sędziego stawałem się piłkarzem WKS „Śląsk" Wrocław. Na mecze miałem być wypożyczany. Układ taki trochę mnie rozczarował, bo było mi spilno do tej sławy, ale powiedziałem: *Trudno, świetnie. Jakoś tam przeczekam...* No i grałem w „Gwardii", robiąc wszystko, aby była w tabeli jak najwyżej. Po rundzie jesiennej stałem się piłkarzem klubu, w którym niegdyś, nie mając lat dziesięciu, zaczynałem, jako trampkarz, na Polu Marsowym. Zatoczyłem koło i znów znalazłem się w „Śląsku"...

(cdn)

Do druku przygotował:

Waldemar Piasecki